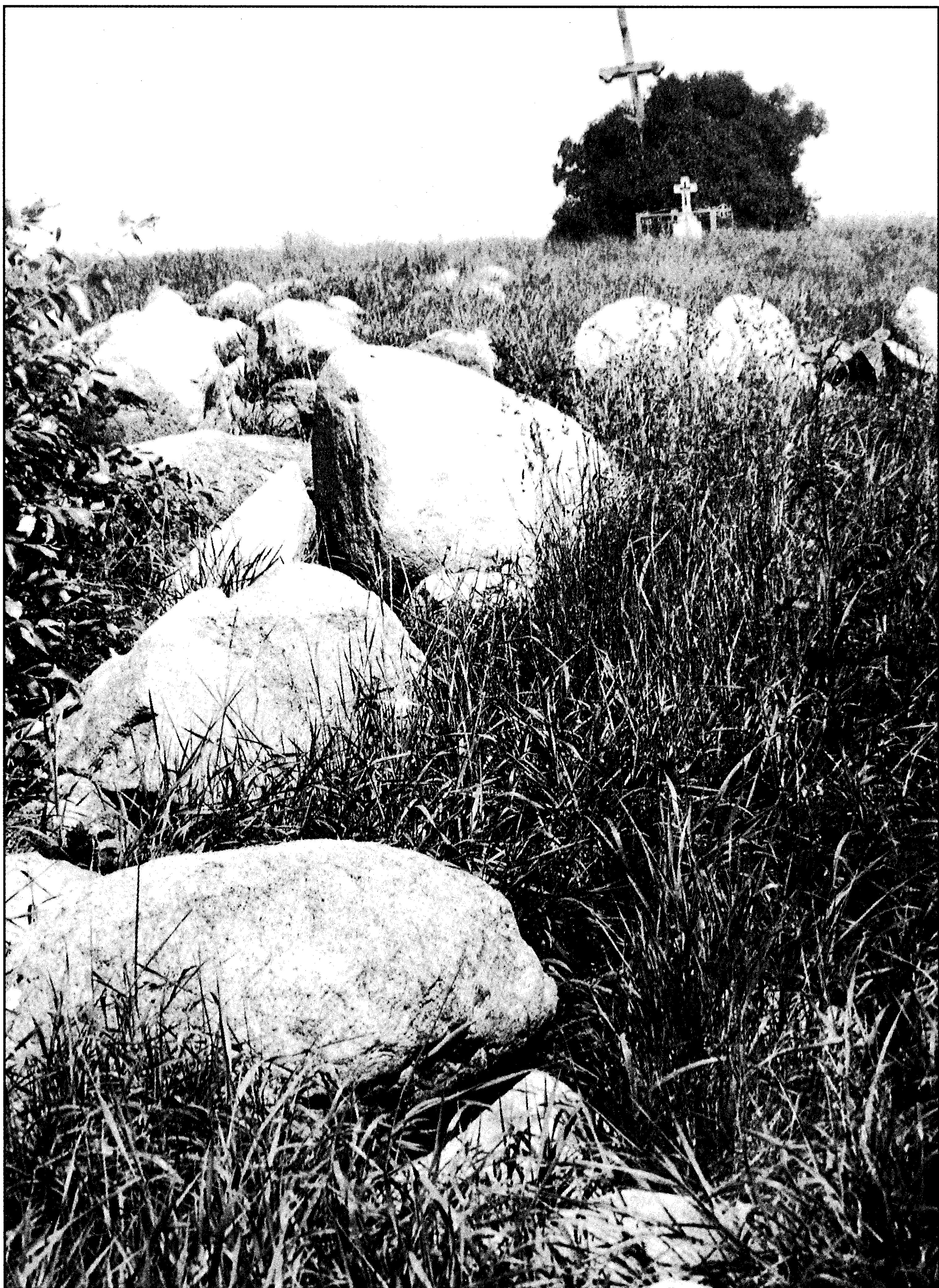
PISMO INFORMACYJNO-KULTURALNE WSCHODNIEJ BIAŁOSTOCCZYZNY

Czasopis

Nr 11 (82) LISTOPAD 1997 CENA 1,50 zł

KAMIENIARZE



str. 21

W NUMERZE:

Białorusini na Białostocczyźnie byli, są i będą. Nikt tego oczywistego faktu w najbliższym czasie nie zmieni, a z całą pewnością nie uczynią tego dyrektorzy Telewizji Białystok. Każdy na ich miejscu pomyślałby sobie, że lepiej przecież na Białorusinach zarobić, niż z nimi walczyć, zresztą bez szans na ostateczne zwycięstwo. Wszystko to proste i logiczne. Gdyby jeszcze nie te kresowe, polskie kompleksy...

U siebie?

str. 16

To nie jakieś tam śmieszne pięć czy dziesięć baniek stałej pensji, ale pięćdziesiąt, czasem osiemdziesiąt za miesiąc. To są pieniądze!

Zawód: gastarbeiter

str.19

W palcach poczuł monety. Serce biło mu tak mocno, jak nigdy w życiu. Długo się nie namyślał — zdjął z siebie świtę, zawiązał rękawy i garść za garścią naładował tyle złota, że ledwie uniósł. W ogromnej skrzyni ubytek był niezauważalny. Wasil swój łup ukrył w szopie i poszedł do domu.

Skarb z czasów powstania

str. 25

Czasopis

Pismo Informacyjno-Kulturalne
Wschodniej Białostocczyzny
Ukazuje się co miesiąc

Wydawca
Stowarzyszenie Dziennikarzy
Białoruskich

Adres redakcji
15-001 Białystok, ul. Suraska 1,
skr. poczt. 262
tel. 42-11-05

Redaktor naczelny
Jerzy Chmielewski

Zespół redakcyjny
Wiesław Choruży, Sławomir Iwaniuk,
Jerzy Kalina (sekretarz redakcji),
Dorota Sulżyk, Jerzy Sulżyk

Stali współpracownicy
Piotr Bajko, Doroteusz Fionik,
Helena Głogowska, Mikołaj Hajduk,
Sokrat Janowicz, Michał Kondratiuk,
Mirosława Łuksza, Irena Matus,
Michał Mincewicz, Sławomir
Nazaruk, Jerzy Osiennik,
Aleksander Sołowianowicz,
Dorota Wysocka

Kompozycja typograficzna i skład
Jerzy Chmielewski

Druk
Orthdruk, 15-399 Białystok,
ul. Składowa 9, tel. 42-25-17

Prenumerata
Odpowiednio do liczby jednorazowo zamawianych egzemplarzy i okresu prenumeraty należy wpłacić wielokrotność 2,50 zł na rachunek: Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich PBK I/O Białystok 370406-6262-2700-1-74.
Nr indeksu 355035
ISSN 1230-1876

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów, zmian tytułów i redagowania nadesłanych tekstów.

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń.

Pismo dofinansowane przez Ministerstwo Kultury i Sztuki Rzeczypospolitej Polskiej.

Numer zamknięto 28 października 1997 r.

Oblicza biedy



Znam pewną sędziwą emerytkę, która od czterdziestu lat, od czasu gdy pochowała ojca i matkę, ani razu nie zajrzała do rodzinnego domu pod Gródkiem. Malowniczo położonym — na pagórku pod lasem — siedliskiem z drewnianymi zabudowaniami, sadem i ścieżką prowadzącą wprost nad rzeczkę, długi czas opiekował się spokrewniony samotny sąsiad. W tym roku na wiosnę jednak zaniemógł i zaraz potem zmarł. Zapytałem staruszkę o dalsze losy jej rodzinnej posiadłości na wsi. Byłem niemal pewny, że któryś z jej synów, już na emeryturze, zechce urządzić tam daczę.

— Niech piorun spali całą tę górkę i wszystko co na niej stoi — odparła ze złością. — Ja tam spędziłam najgorsze lata w swoim życiu. Zaznałam wszystkiego: brudu, smrodu, chorób i głodu. Dobijająca była nieustanna harówka — od świtu do nocy. Dopiero w Białymstoku, gdy zamieszkałam w bloku i poszłam do ośmiogodzinnej pracy z wolnymi niedzielami, a później i sobotami, poczułam, że żyję.

Po tych słowach pomyślałem, że cykl „Lud nadnarwiański" Ireny Matus, który od dłuższego już czasu pojawia się na łamach „Czasopisu", staruszce na pewno nie przypadłby do gustu (ona zresztą czyta w prasie tylko program telewizyjny). Nie ujmą jej wspomnienia o bogatym folklorze, zwyczajach, obrzędach i codziennym życiu nadnarwiańskich Białorusinów od końca XIX do połowy XX wieku, a nieraz i dalej. Z rozmów z młodszymi Czytelnikami wiem jednak, że te opowieści cieszą się wśród nich dużą popularnością. Ich zdaniem, są ciekawe i pożyteczne — dają taki obraz naszej historii, jaka była naprawdę, a więc także z opisami chłopskiej biedy i niedoli.

W tym numerze takie sceny zawierają i inne teksty. Polecam przekłady prozy Izaaka Babla (kto nie zna białoruskiego, niech żałuje!). Ich smakowita lektura pomoże zrozumieć, dlaczego osiemdziesiąt lat temu wybuchła rewolucja październikowa. Wywołała ją, a później zniszczyła ukształtowaną w jej wyniku rzeczywistość, właśnie bieda. Ale bieda dawniej i dziś to zupełnie co innego. Obecne ubóstwo niegdyś mogło być uważane za dobrobyt. Jednak bieda sama w sobie ma jedną, wciąż niezmienną, cechę: potrafi obalić każdą władzę.

Niektórzy politycy uważają, że tylko ona może zmienić oblicze dzisiejszej Republiki Białoruś, powszechnie postrzeganej jako jeden z najuboższych krajów w tej części świata. Jednak głupieją, gdy dowiadują się, że zdecydowanej większości Białorusinów wcale to nie przeszkadza. Tylko nieliczni z nich biją na alarm.

Niedawno wpadła mi w ręce ulotka białoruskiej Zjednoczonej Partii Obywatelskiej. Stoi w niej napisane, że „bieda zaczyna się wtedy, gdy człowiekowi nie starcza sił i środków, by móc zapracować na następny dzień, by wyżywić dzieci, o ubraniu i potrzebach mieszkaniowych nie wspominając". W całym cywilizowanym świecie próg ubóstwa wyznacza tzw. minimum socjalne, czyli taka suma pieniędzy, która przy obowiązujących w kraju cenach, pozwala człowiekowi przeżyć bez wyrzeczeń. Na tej podstawie rządy ustanawiają tzw. płacę minimalną, która nie powinna być niższa niż 2-2,5 raza minimum socjalnego. Tymczasem według danych Ministerstwa Statystyki RB minimum socjalne w tym kraju wynosi 62 dolary, a najniższa pensja to zaledwie 5,3 dolara. Iloraz wynosi zatem niecałą jedną dziesiątą. Biorąc pod uwagę statystyczne zarobki Białorusinów, zdecydowana większość z nich żyje głęboko poniżej minimum socjalnego, rzec by można, w sferze ubóstwa.

Wspomniana ulotka zawiera też tabelę z siłą nabywczą białoruskiego rubla w porównaniu do krajów sąsiednich. Wynika z niej, że Białorusin za średnią pensję (71 dolarów) może kupić 1,5-3 razy mniej podstawowych towarów (żywność, benzyna, sprzęt elektroniczny) niż Polak (ze średnią pensją 252 dolary).

— Co o tym sądzisz? — zapytałem znajomego handlarza z Grodna.

— Oczywiście, w Polsce żyje się wam o wiele lepiej — odpowiedział.

— A jak inni radzą u was z biedą?

— 90 proc. naszych obywateli wcale to nie przeszkadza. Oni uważają, że gdyby nie Łukaszenka, to byłoby jeszcze gorzej.

— To może być jeszcze gorzej?

— Tak. Może być głód i faszyści z biało-czerwono-białą flagą.

I bądź tu mądry. A swoją drogą — jak wiele wspólnego jest w postawach średniego i starszego pokolenia Białorusinów i tu, i tam. Jedni i drudzy odrzucają wszystko, co choćby trochę przypomina przeżytą gorycz i biedę. Odrzucają swoją historię.

Jerzy Chmielewski

OPINIE

■ *To nie dotacja, a gentlmeńska umowa — tak przewodniczący BTSK* (Jan Syczewski, obecny poseł SLD — **red.**) *nazwał kwotę 15 000 zł przekazaną 21 grudnia 1996 r. Białowieskiemu Ośrodkowi Kultury na działalność zespołu folkloru białoruskiego „Białowieża". Pieniądze te należało zwrócić na początku 1997 r. — stwierdził przewodniczący. W burzliwej dyskusji padały pytania: „Czy była to dotacja, czy też pożyczka?". Rada Gminy poleciła Zarządowi rozważenie tej sprawy. Losy dotacji będziemy śledzić.*
„Głos Białowieży", nr 9/1997 r.

■ *Z wielu powodów jesteśmy w stanie szybciej niż inne uczelnie zorientować się w stanie wiedzy dotyczącej krajów wschodnich i kontaktów z nimi, pewnych możliwości przełamywania żelaznej kurtyny, która być może niechcący tworzy się na granicy Bugu, a która nie jest chyba w interesie naszego miasta i kraju. Naszą rolą jest tworzenie wiedzy o tych krajach, wspólne prowadzenie badań, dostarczanie informacji, a także przełamywanie schematów myślowych, stereotypów, które funkcjonują.*
Prof. **Andrzej Sadowski**, prorektor do spraw nauki Uniwersytetu w Białymstoku, „Nasz Uniwersytet", październik 1997 r.

■ *„Sieńka" podkreśla, że jego kuchnia nie ma jakiegoś zdecydowanie narodowego charakteru. Jest po trosze białoruska, po trosze francuska, a poniekąd też orientalna. Kulinarny gust „Sieńki" wyznacza miłość do czosnku. (...) Swoje potrawy „Sieńka" najchętniej popija czerwonym lub białym winem. — Tego nawyku nabrałem podczas pobytu we Francji. W ogóle nie przepadam za wódką. Wolę piwa ciemne — np. Porter lub Guiness, a z jasnych — Coronę, którą pije się z dodatkiem limona. (...) Z trunków bardziej wyszukanych „Sieńka" sięga czasami po porto lub irlandzkie likiery, a z wódek — po tequillę.*
Jerzy Osiennik (zwany „Sieńką"), szef Związku Młodzieży Białoruskiej, w „Gazecie Handlowej" — cotygodniowym dodatku „Gazety w Białymstoku", 2 października 1997 r.

■ *Wysoka pozycja Wappy na liście krajowej Unii Pracy zmobilizowała Sojusz Lewicy Demokratycznej do umieszczenia na 40 miejscu Jana Syczewskiego, przewodniczącego Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. (...) W tak potężnym ugrupowaniu jak SLD było to równoznaczne z poselskim mandatem. Z listy okręgowej do Sejmu wszedł także inny członek BTSK — Siergiej Plewa. Oni dziś stanowią reprezentację białoruską w parlamencie. Syczewski uważa, że w demokratycznym państwie narodowość jest kategorią emocjonalną, a nie polityczną. Konstytucja zapewnia mniejszościom prawa na odpowiednim poziomie, nie ma więc obiektywnej potrzeby walki o nie, a więc także jednoczenia się wokół haseł narodowych.*
„Kurier Poranny", 4 października 1997 r.

■ *Zwycięstwo Akcji Wyborczej Solidarność i Mariana Krzaklewskiego (usuniętego w ub.r. z Białorusi) nie będzie sprzyjać ociepleniu stosunków polsko-białoruskich, które obecnie są zadowalające (w porównaniu do stosunków Białorusi z innymi państwami europejskimi).*
Michail Ślamniou, b. konsul generalny Republiki Białoruś w Białymstoku, „Gazeta w Białymstoku", 4-5 października 1997 r.

■ *Czy widzisz szansę dla wolnych mediów na Białorusi?*
— Nie ma w ogóle o czym mówić. Obawiam się, że bez nacisku sąsiednich państw na Białoruś, wkrótce może się tu powtórzyć rok 1937 — szczyt stalinowskich represji.
Paweł Szeremiet, miński korespondent rosyjskiej telewizji publicznej ORT po uwolnieniu z aresztu, w rozmowie z korespondentem „Gazety Wyborczej", 9 października 1997 r.

■ *Na Białostocczyźnie, pomimo że słynie z tolerancji, doszło niestety do wielu zadrażnień narodowościowych i religijnych. Przegrał ekumenizm, nasiliły się konflikty i pogorszyły się stosunki międzyludzkie. To przyczyna m.in. wciąż niskiej kultury politycznej, co ciągle pokutuje. I niestety nie udało się znaleźć recepty na przygraniczne położenie województwa. Zamiast atutem, wciąż jest to problemem.*
Minister **Adam Dobroński**, „Kurier Podlaski", 9-12 października 1997 r.

■ *Arcybiskup Sawa, generał, prawosławny ordynariusz WP, w rozmowie z „Trybuną", na pytanie, czy Kościół prawosławny widzi potrzebę zawarcia z władzami podobnego układu jak konkordat: „Konkordat jest sprawą Kościoła rzymskokatolickiego i nam nie przeszkadza. Chodzi jedynie o to, by prawo kościelne Kościoła rzymskokatolickiego nie zastępowało prawa państwowego".*
„Polityka", 11 października 1997 r.

Na okładce: składowisko kamieni koło wsi Topczykały
Fot. M. Mincewicz

Рэвалюцыя вачамі Бабеля

Ніжэй друкуем тры апавяданні Ісаака Бабеля ў перакладзе на беларускую мову. Гэты адэскі жыд, якога так і не выратаваў ад расстрэлу сам Максім Горкі — захутка атруцілі — прайшоў кампанію 20-га году. Напісаў апавяданні, якія перавярнулі тады ўсю еўрапейскую літаратуру. На бабелеўскай фразе вырас, напрыклад Хемінгуэй. Такім чынам адзначаем гадавіну няшчаснага бальшавіцкага перавароту 1917-году ў Расеі, які хутка разліўся на Беларусь і іншыя краіны свету, і паўплываў на жыццё пару пакаленняў людзей.

Прышчэпа

Дабіраюся ў Лешняў, дзе размясціўся штаб дывізіі. Мой спадарожнік той быў жа Прышчэпа — малады кубанец, нястомны хам, чысты камуніст, будучы хапач, бяспечны сіфілітык, няспешлівы махляр. На ім малінавая чаркеска з тонкага сукна і пухавы башлык, закінуты за спіну. У дарозе ён распавядае пра сябе...

Год таму назад Прышчэпа ўцёк ад белых. У адпомсту яны ўзялі заложнікамі яго бацькоў і забілі іх у контрразведцы. Маёмасць расхапілі суседзі. Калі белых прагналі з Кубані, Прышчэпа вярнуўся ў родную станіцу.



Чырвоны герой грамадзянскай вайны. Быў трынаццаць разоў паранены, пра што сведчаць нашыўкі на рукаве

Была раніца, днела, мужыцкі сон дыхцеў у пракіслым духоцці. Прышчэпа дабіўся казённай фурманкі і пайшоў па станіцы адбіраць свае грамафоны, збаны на квас, і вышываныя ручнікі. Ён выйшаў на вуліцу ў чырвонай бурцы, з крывым кінджалам за поясам; фурманка грукацела ззаду. Прышчэпа хадзіў ад аднаго суседа да другога, крывавы адбітак яго падэшваў цягнуўся за ім следам. У тых хатах, дзе казак знаходзіў рэчы маткі або цыбук бацькі, ён пакідаў паколатых старэчаў, сабак, павешаных над калодзежам, іконы, запаскуджаныя памётам. Станічнікі, пакурваючы люлькі, панура асочвалі ягоны шлях. Маладыя казакі рассыпаліся ў стэпе і вялі падлік. Падлік брыняў, а станіца маўчала. Скончыўшы, Прышчэпа вярнуўся ў апустошаны бацькаў дом. Ён расставіў адабраную мэблю ў парадку, які запамятаў яшчэ з дзяцінства, і паслаў па гарэлку. Зачыніўшыся ў хаце, ён двое сутак піў, спяваў, плакаў і сек шабляю сталы.

На трэцюю ноч станіца ўбачыла дым над хацінаю Прышчэпы. Апалены і абадраны, ледзь валочачы нагамі, ён вывеў са стойла карову, засунуў ёй у рот рэвальвер і выстраліў. Зямля курылася пад ім, сіняе кальцо полымя вылецела з коміна і растала; у стайні жаласліва рыкаў пакінуты бычок. Пажар ззяў, як святая нядзеля. Прышчэпа адвязаў каня, скокнуў у сядло, кінуў у агонь кудзерку сівых валасоў і знік.

Начальнік конзапасу

Вёска стогне і кляне. Конніца ад'ядаецца і змяняе коней. Кавалерысты забіраюць рабочыя буланкі ўзамен за заезджаныя клячы. Клясці тут няма каго. Без коней няма арміі.

Але сялянам не лягчэй ад такое свядомасці. Сяляне стаяць хмараю каля будынка штаба.

Яны напрыводзілі пакінутых ім, растапыраных ад слабасці і заўпарцелых ад вяровак на шыі конскіх недабойкаў. Пазбаўленыя жывога цягла мужыкі, адчуваючы ў сабе прыліў горкай харобрасці і ведаючы, што харобрасці тае не надоўга ім будзе, спяшаюцца без усякае надзеі нагаварыць начальству, Богу і сваёй марнай долі.

Начальнік штаба Ж. у поўнай форме стаіць на ганку. Прыплюшчыўшы пачырванелыя ад нявыспанасці павекі, ён з паказною ўвагаю слухае мужыцкія скаргі. Але ўвага яго не больш як спосаб. Як усялякі вышкалены і перамучаны служачы, ён умее ў пустыя хвіліны існавання цалкам спыніць мазгавую работу. У гэтыя нешматлікія хвіліны шчаснага бяздум'я начальнік штаба падзабаўляецца выслізганай зброяй.

Так і цяпер пры мужыках.

Пад супакойваючы акампанемент іх гаварнечы ды адчайнай гаманы Ж. прыслухоўваецца да тае мяккае мітусні ў мозгу, якая прадракае чысціню і энергію дум-

кі. Прычакаўшы патрэбнага перапынку, ён зазвычай спагадае апошняй мужыцкай слязе, па-начальніцку агрызаецца і ідзе да сябе ў штаб працаваць.

У гэты раз і агрызнуцца не давялося. На вогненным англа-арабе прыімчаў да ганка Дыякаў, былы цыркавы атлет, а цяпер начальнік конскага запасу — чырвонаморды, сівавусы, у чорным плашчы і з сярэбрыстымі лампасамі ўздоўж чырвоных шараварaў.

— Сумленным нягоднікам манастырскае блаславенне! — пракрычаў ён, уздыбіўшы каня, і ў той жа міг падлезла яму пад стрэмя ўпаршывелая кабылка, адна з тых, што абмянялі казакі.

— Глядзі, таварышу начальніку, — заенчыў мужык, ляпаючы сябе па нагавіцах, — глядзі, што вашы даюць нам... Бачыш, што даюць? А гаспадарку рабіць трэба...

— А за гэтага каня, — выразна і важна аказаўся тады Дыякаў, — а за гэтага каня, шаноўны прыяцелю, ты цалкам маеш права атрымаць у конскім запасе пятнаццаць тысяч рублёў, а калі б гэты конь быў бы весялейшы, то ў такавым выпадку ты атрымаў бы, каханенькі-родненькі, у конскім запасе дваццаць тысяч рублёў. Але, аднак жа тое, што конь упаў, — гэта зусім не хвакт. Калі конь упаў і падымаецца, то гэта — конь; калі ён, інакш кажучы, не падымаецца, тагды гэта не конь. Але, што і казаць, гэтая спраўная кабылка ў мяне падымецца...

— Божа, ты бачыш і не грыміш! — размахаўся мужык. — Як жа яна, бедная, падымецца... Яна ж, нябога, сканае...

— Не кажы так пра каня, куме, — з вялікм пераканаем адказаў Дыякаў. — Проста скажу табе, не грашы перад Богам, — і ён лоўка зняў з сядла сваё мажное цела атлета. Расставіўшы свае знакамітыя ногі, абхопленыя ў каленях раменьчыкам, дастойны і спрытны, як на сцэне, ён рушыўся да канаючай жывёліны. Яна смутна вылупілася на Дыякава паказеленым глыбокім вокам, злізала з яго малінавай далоні нейкі нябачны загад, і ў той жа час абяссіленая кабыла адчула ўмелую моц, што праменіла ад гэтага сівага, здаровага і зухаватага Рамэа. Панюхаўшы зямлю і тапырачыся на ломкіх нагах, адчуваючы нецярплівую і ўладную казытку бізуна пад жыватом, кляча паволі, уважліва станавілася на ногі. І вось усе мы ўбачылі, як далікатная далонь у расхлістаным рукаве паляпала брудную грыву і бізун са спачуваннем прыткнуўся да закрываўленага бока. Дрыжучы ўсім целам, кляча стаяла на сваіх чатырох і не зводзіла з Дыякава сабачых, баязлівых, кахаючых вачэй.

— Значыць, што конь, — сказаў Дыякаў мужыку і ласкавей дадаў: — А ты скардзіўся, каханенькі-родненькі...

Кінуўшы ардынарцу павады, начальнік конзапасу імпэтна сігануў цераз чатыры ступенькі і, махнуўшы оперным плашчам, знік у будынку штаба.

Удава

На санітарнай брычцы памірае Шавялёў, палкавы камандзір. Жанчына сядзіць ля яго ног. Ноч, пранізваная поблiскамі кананады, выгнулася над паміраючым. Лёўка, павознік начальніка дывізіі, падаграе ў кацялку ежу. Чуб Лёўкі звісае над агнём, патрыножаныя коні хрумстаюць у кустах. Лёўка памешвае ў кацялку і кажа Шавялёву, выпрастанаму на санітарнай брычцы:

— Рабіў я, таварышок, у Цюмрэку ў горадзе, рабіў паказную язду, а таксама атлет лёгкай вагі. Гарадок, вядома, жанчынам утомны, згледзелі мяне панечкі, мёртваму падымецца... Леў Гаўрылыч, не паганьбуйце ўчаставацца паводле мэн'ю, не пашкадуеце беззваротна патрачанага часу... Зайшоў я з адною ў карчму. Кажам, каб далі нам цялянціны дзве порцыі, заказваем чвэртку, сяджу я з ёю ціхенька, выпіваем абое... Бачым — лезе да мяне якісьці пан, у прыстойнай адзежыне, чысты, але ад усяго яго тхне вялікай фанабэрыяй, і ў самога яго язык ужо не надта варочаецца...

„Выбачайце, — кажа, — а якая ў вас, між іншага, нацыянальнасць?"

„Нашто вам гэта ведаць, — пытаю, — вы, пан, нацыянальнасці мае чапляецеся, калі я тым часам знаходжуся ў дамскім таварыстве?"

... А ён:

„Які з вас атлет, — кажа. — У французскай барацьбе з такіх адразу подсціл робяць. Дакажыце мне сваю нацыю..."

... Яшчэ, аднак, не ляснуў яму.

„Нашто вам, — не ведаю, хто вы і адкуль, — такі вэрхал уздымаць, ад якога тут абавязкова павінен нехта з нас у сучасны момант галавою накласці, інакш кажучы, без духу ляснуцца?" Без духу ляснуцца... — паўтарае Лёўка з захапленнем, выцягнуўшы рукі да неба, атачыўшы сябе ноччу, як німбам. Нястомны вецер, чысты вецер ночы пяе, брыняе звонам і закалыхвае душы. Зоркі палыхаюць у цемрачы, бы шлюбныя пярсцёнкі, яны падаюць на Лёўку, заблытваюцца ў валасах і гаснуць ва ўздырдыганенай яго галаве.

— Леў, — шэпча яму раптам Шавялёў сінімі губамі, — падыдзі да мяне. Золата ўсё маё — Сашцы, — кажа паранены, — пярсцёнкі, збрую, усенька ёй. Жылі, як умелі... узнагароджу. Адзенне, бялізну, ордэн за беззапаветнае геройства матцы на Церак. Адашлі з пісьмом і напішы ў пісьме: „Кланяецца камандзір, і не плач. Хата — табе, старой, жыві. Хто чэпіцца, падавайся да Будзённага: я — Шавялёва маці..." Каня Абрамку палку ахвяроўваю, каня ахвяроўваю на ўспамін мае душы...

— Будзе з канём, як кажаш, — мармыча Лёўка і ўзмахвае рукамі. — Саш, — крычыць да жанчыны, — чула, што кажа?... Пры ім сведч — аддасі старой ейнае, ці бо можа не аддасі?

— А туды-сюды вашу маць, — адказвае Сашка і адыходзіцца ў кустоўе, выпрасціўшыся, бы сляпая.

— Аддасі беднай прыналежнае? — даганяе яе Лёўка і цісне за горла. — Пры ім кажы...

— Аддам. Пусці!

І тады, змусіўшы да прызнання, Лёўка зняў кацялок з агню і пачаў ліць страву паміраючаму ў падзеравянелы рот. Капуста абцякала з Шавялёва, лыжка дзвэнгала па яго паблiскваючых мёртвых зубах, і кулі ўсё тужлівей, усё мацней праспеўвалі ў густых прасторах ночы.

— З вінтовак шпарыць, падла, — сказаў Лёўка.

— Вось халуйскі занятак, — адказаў Шавялёў. — Кулямётамі мацае нас на правым фланзе...

І, заплюшчыўшы вочы, урачыста, як мярцвяк на стале, Шавялёў пачаў слухаць бітву вялікімі васковымі сваімі вушыма. Побач з ім Лёўка жаваў мяса, хрумстаючы і захлынаючыся. Скончыўшы мяса, Лёўка аблізаў губы і пацягнуў Сашку ў равок.

— Саш, — сказаў ён, дрыжучы, адрыгваючыся і лапаючы рукамі, — Саш, як перад Богам, усё роўна грахамі абкідала як балячкамі... Раз жывем, раз канаем. Паддайся, Саш, адслужу хоч крывёю... Век яго мінуў, Саш, а дзён у Бога не паменшала...

Яны селі на высокую траву. Марудны месяц выпаўз з-за хмараў і спыніўся на аголеным Сашкі калене.

— Трэскаецеся, — прамармытаў Шавялёў, — а ён, бач, чатырнаццатую дывізію пагнаў...

Лёўка шамацеў ды задыхаўся ў кустах. Імглісты месяц швэндаўся па небе, бы валацуга. Далёкая страляніна плыла ў паветры. Стэпавая трава шахацела на патрывожанай зямлі і падалі ў яе зоркі канца лета.

Пасля Сашка вярнулася на папярэдняе месца. Яна ўзялася пазмяняць параненаму бінты і свяціла ліхтарыкам у гнойную рану.

— Заўтрака аціхнеш, — сказала Сашка, абціраючы Шавялёва, які абліваўся халодным потам. — Да заўтрака аціхнеш, яна ў вантробах тваіх, смерць...

У гэтае імгненне шматгалосы пругкі ўдар паваліўся на зямлю. Чатыры свежыя брыгады, уведзеныя ў бітву аб'яднаным камандаваннем непрыяцеля, выпусцілі на Буск першы снарад і, разрываючы нашы камунікацыі, запалілі водападзел Буга. Паслухмяныя пажары паўсталі на гарызонце, цяжкія птушкі кананады вылецелі з агню. Буск гарэў, і Лёўка паляцеў праз лес у разгойданым экіпажы начальніка дывізіі шэсць. Ён тузаў малінавымі лейцамі і стукаўся аб пні лакіраванымі коламі. Шавялёўская брычка неслася за ім, уважлівая Сашка кіравала коньмі, ашалела джгаючымі.

Так прыехалі яны на ўзлессе, дзе стаяў санітарны пункт. Лёўка выпраг коней і пайшоў да загадчыка прасіць прасціраддла. Ён ішоў лесам, застаўленым фурманкамі. Целы санітарак тырчэлі пад фурманкамі, сарамлівы світанак трымцеў над салдацкімі аўчынамі. Боты спячых кірчма раскінуліся, зрэнкі каціліся ў неба, чорныя ямы ратоў пакасіліся.

Прасціраддла знайшлося ў загадчыка; Лёўка вярнуўся да Шавялёва, пацалаваў яго ў лоб і акрыў з галавою. Тады да брычкі наблізілася Сашка. Яна падвязала сабе хустку пад падбародак і абтрэсла салому з адзення.

— Паўлюшка, — сказала яна. — Ісус Хрыстос мой, — лягла на нябожчыка бокам, ахінуўшы яго сваім бесцамерным целам.

— Забіваецца, — сказаў тады Лёўка, — што і казаць, добра жылі. Цяпер ёй зноў пад цэлым эскадронам не здыхацца. Якая тут саладосць...

І ён паехаў далей у Буск, дзе знаходзіўся штаб шостай кавалерыйскай дывізіі.

Там, дзесяць вёрстаў ад горада, адбывалася бітва з савінкаўскімі казакамі. Здраднікі біліся пад камандаю эсаула Якаўлева, перайшоўшага да палякаў. Яны біліся мужна. Начальнік дывізіі другія суткі быў з войскам, і Лёўка, не знайшоўшы яго ў штабе, вярнуўся да сябе ў хату, абчысціў коней, паліў вадою колы экіпажа і лёг спаць у клуні. Будыніна была бітком набітая свежым сенам, запальным, як адэкалон. Лёўка выспаўся і сеў абедаць. Гаспадыня згатавала яму бульбы, паліла яе кіслым малаком. Лёўка сядзеў ужо за сталом, калі ад вуліцы пачуўся жалобны стогн трубаў і тупат мноства капытаў. Эскадрон з трубачамі і штандартамі праходзіў звілістаю галіцыйскай вуліцаю. Цела Шавялёва, пакладзенае на лафет, было ўкрыта сцягамі. Сашка ехала за труною на шавялёўскім жарабцы, казацкая песня падплывала ад задніх радоў.

Эскадрон прайшоў галоўнай вуліцай і павярнуў да рэчкі. Тады Лёўка, босы, без шапкі, кінуўся бегма за адыходзячым атрадам і схапіў за павады каня камандзіра эскадрона.

Ні начальнік дывізіі, што запыніўся на скрыжаванні дзеля аддачы шанавання мёртваму камандзіру, ні штаб яго не чулі, што сказаў Лёўка эскадроннаму.

— Бялізну... — данёс да нас вецер абрыўкі слоў, — матка на Цераку... — пачулі мы бязладныя крыкі Лёўкі. Эскадронны, не даслухаўшы да канца, выхапіў павады і паказаў рукою на Сашку. Жанчына пакруціла галавою і паехала далей. Тады Лёўка ўскочыў да яе на сядло, схапіў за валасы, адагнуў галаву і разбіў ёй кулаком твар. Сашка выцерла падолам кроў і паехала далей. Лёўка злез з сядла, адгарнуў чуб і завязаў на бёдрах чырвоны шарф. І выючыя трубачы павялі эскадрон далей, да ззяючай лініі Буга.

Лёўка хутка вярнуўся да нас і закрычаў, бліскаючы вачыма:

— Расквасіў ёй як мае быць... Адашлю, кажа, матцы, калі трэба. Ейную памяць, кажа, сама памятаю. Калі памятаеш, дык не забывайся, бляха... А забудзешся — мы табе прыгадаем яшчэ раз. Зноў забудзешся — зноў прыпамятуем.

Ісаак Бабель
Пераклаў Сакрат Яновіч


Крывавае жніво кампаніі 1920-га году пад Омскам

Фота з: Brian Moynahan, „Rosja XX wieku", MUZA SA, Warszawa 1995

Bycie sobą

O mały włos byłbym przegapił okrągłą osiemdziesiątą rocznicę przewrotu bolszewickiego w Rosji, nazywanego później Wielką Socjalistyczną Rewolucją Październikową. Oficjalnie świętowaną bodajże jedynie w Białorusi i na Kubie... Świetna to okazja do zastanowienia się nad osobowością prezydenta Aleksandra Łukaszenki i mentalnością kochającego go bez pamięci ludu Republiki Białoruś. Po bliższym przyjrzeniu się dokonaniom szefa tego państwa musi zdumieć jego wierność samemu sobie i reprezentowanym przezeń wyborcom. To rzadki przypadek w świecie polityki. Być może Łukaszenka jest bardziej trybunem ludowym, aniżeli właśnie politykiem. Takim białoruskim Fidelem Castro.

Bo co przede wszystkim rzuca się w oczy w postawie prezydenta z Mińska? Jego szczere i publiczne narzekania na upadek Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i przysięganie, niemal w kościuszkowskim stylu, że czyni celem swego życia przeciwdziałanie smutnym skutkom tego historycznego faktu. W każdym innym państwie poradzieckim — poza Białorusią — takie notoryczne deklarowanie się skończyłoby się totalną katastrofą polityczną, wręcz wojną domową. Ale nie tutaj. W swej przytłaczającej większości mieszkańcy Republiki są Białorusinami tylko z nazwy, a w rzeczywistości ludźmi radzieckimi, pełnymi rzewnych wspomnień po niedawno minionych czasach. Łukaszenka — rzecz jasna — wie nie tylko o tym. W samej ojczyźnie bolszewizmu, w Rosji mianowicie, sytuacja jest zgoła podobna. Nie trzeba mu zatem uciekać się do żadnych chytrostek, lecz wprost odwrotnie: przecież zwyciężył w wyborach prezydenckich głównie dzięki owym deklaracjom utrzymania radzieckości u siebie i odbudowy czegoś w rodzaju neo-ZSRR. Pierwszym krokiem w tym kierunku ma być na powrót zlanie się Białorusi z Rosją, najlepiej pod jego kierownictwem. Lud to rozumie i murem stoi za nim; w rosyjskich guberniach także jest fetowany on z miłym oku czerwonosztandarowym entuzjazmem. Z tego powodu prezydent Borys Jelcyn czasami robi psikusa mińskiemu odnowicielowi, nie dając zgody na wizytowanie — w ramach Związku Rosji z Białorusią — nafaszerowanego czerwonogwiezdnym wojskiem obwodu kaliningradzkiego czy okręgów w tzw. czerwonym pasie, gdzie komuniści Ziuganowa mają dominującą przewagę w wyborach lokalnych i obsadzają swymi kandydatami stanowiska gubernatorskie.

Ten demagog o zawodzącym głosie sieroty z kompleksem krzywdy, do niedawna nie znany nikomu w europejskich gabinetach, dzisiaj spędza sen z powiek wielu kuchmistrzom, przygotowującym różne wersje menu politycznego dla kontynentu i całego globu. Teoretycznie rzecz biorąc Łukaszenka wcale gładko może zasiąść na postalinowskim Kremlu, a wtedy drżyjcie narody!

Aleksander Łukaszenka, udzielając wywiadu Adamowi Michnikowi, określił się jako radziecki Białorusin. Polak jednakże wyraźnie nie pojął, o co idzie jego rozmówcy. Stało się to jasne dopiero z upływem pewnego okresu. Z pomocą demokracji radzieckiej, powracanie której radośnie powitały zagubione w przemianach masy pracujące miast i wsi, przywrócono drogą powszechnego referendum — ulubiona metoda dyktatorów — symbolikę państwową, ustaloną jeszcze przez Stalina dla Białoruskiej SRR. Jednocześnie przywrócono językowi rosyjskiemu status oficjalnego, co szczególnie uradowało wynarodowioną prawie zupełnie Białoruś, która wszak... mówi i myśli po rosyjsku. Po tym zabiegu popularność Łukaszenki w narodzie sięgnęła zenitu! Niechęć, a nierzadko wręcz nienawiść, u radzieckich Białorusinów do języka i kultury białoruskiej jest ogromna, żywiołowa. Odezwanie się w mowie ojczystej w miejscu publicznym grozi kpiną i pluciem, albo i mordobiciem. Powód tej paranoi jest prosty: białoruskość jest odbierana przez nich jako zaprzeczenie radzieckości.

Dalej poszło jak po maśle, przy ogólnym aplauzie tłumów: na życzenie ludzi pracy wylikwidowano do śmiesznego minimum szkolnictwo białoruskie, przywracając rosyjskie, zatamowano wprowadzanie języka narodowego do praktyki urzędowej, zmarginalizowano wydawnictwa białoruskojęzyczne, cofając im na istotną skalę wsparcie finansowe; w końcu pozbyto się parlamentu, zastępując go dobrze pamiętaną namiastką w postaci maszynki do głosowania, odpowiednio pomajstrowano przy Konstytucji, opracowanej i uchwalonej w 1994 roku jeszcze przez usiłujących uchodzić za demokratów posłów nomenklaturowych, i w końcu — tymże ulubionym sposobem referendum ludowego — uzyskano dla prezydenta uprawnienia i pełnomocnictwa, jakich już nie posiadali nawet carowie w pouwłaszczeniowej Rosji. Robi się to wszystko w jednym jedynym celu — utrzymania Republiki Białoruś w duchu fragmentu nieodżałowanej pamięci Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, by w oparciu o elektorat radzieckich Białorusinów pójść dalej, aż do Władywostoku. Restrykcje międzynarodowe, jakie boleśnie uderzają obecnie w Białoruś, głuchy płot izolacji Łukaszenka ma w nosie. Odbije to sobie z nawiązką potem, gdy usadowi się jako przywódca Związku z potężną podstawą gospodarczo-militarną nie określonego ściślej na razie owego neo-ZSRR. Wówczas wystawi się pomnik-memoriał narodowi białoruskiemu, który bohatersko poniósł wszak ofiary nędzy i upodlenia w imię przywrócenia świetlanej przeszłości... Również od wdzięcznych Wielkorusów leninowsko-stalinowskich.

Aleksander Łukaszenka niewątpliwie jest sobą. Zachodzi przy tym zjawisko zadziwiające: nie czyni on najmniejszej tajemnicy ze swych planów. Podobnie kiedyś Adolf Hitler opisał w „Mein Kampf" dokładniutko swe przyszłe poczynania, lecz nie wiedzieć czemu nikt rozsądny jego słowom wtedy nie uwierzył, nawet Żydzi berlińscy. Takie to było gadanie i pisanie nie z tego świata? Głupota tak długo pozostaje głupotą, dopóki nie zyska poparcia społecznego i przejdzie w sferę realiów, z którymi nie sposób już wówczas się nie liczyć.

Czy my, mniejszość białoruska w Polsce, jesteśmy inni? Ależ skąd! Chociażby wyniki ostatnich wyborów parlamentarnych jednoznacznie wskazują na to, że możemy równie precyzyjnie nazwać się mniejszością narodową... radziecką w Rzeczypospolitej Polskiej, zamiast białoruskiej (słowiańską — nijaką — po części już zostaliśmy, bardzo to Łukaszenkę ucieszy). Widocznie tak musi być. Samo przecież odrodzenie białoruskie na początku naszego stulecia formowało się prawie bez wyjątków w łożysku permanentnej rewolty socjalistycznej. Białorusin znaczył wówczas tyle co biedak, łachmaniarz. Gardził białoruskością nie sam jeno mieszczuch. Bezpardonowo i zaciekle zwalczał ją właśnie proletariusz, mając na to dodatkowe uzasadnienie — ideologię internacjonalizmu i światowego bratania się wyklętych i poniżonych. Jak tylko Białorusin dobrnął jako tako do czegoś, co przypominało mu oglądany wcześniej z daleka dobrobyt, natychmiast przestawał być sobą.

To nasz wielki dylemat na dziś.

Sokrat Janowicz

ЛІСТАПАД



Ілюстрацыя Васіля Шаранговіча да паэмы Якуба Коласа „Адвечная песня"

...гадоў таму

1135— У летапісе „Аповесць мінулых гадоў" пад 862 годам упершыню ўспамінаецца горад Полацк. Ад гэтай даты пачынаецца пісаная гісторыя першай сталіцы Беларусі.

715 — У 1282 г. памёр вялікі князь Трайдзень, які адрадзіў з заняпаду Старабеларускую дзяржаву (Вялікае княства Літоўскае) пасля малавядомага „смутнага" часу пасля смерці вялікага князя Войшалка (1268). За Трайдзеня выдатна ўзмоцнілася цэнтральная ўлада, пашырыліся межы Старабеларускай дзяржавы, між іншым, пры дапамозе вояў з Гарадзенскага княства (у якое ўваходзілі таксама землі паўднёвай Сувальшчыны і паўночна-ўсходняй Беласточчыны) ён вызваліў у 1274 г. Драгічын з-пад улады галіцка-валынскіх князёў і далучыў да Старабеларускай дзяржавы.

550 — У 1447 г. вялікі князь Старабеларускай дзяржавы Казімір Ягайлавіч выдае прывілею, паводле якой пачалася поўная залежнасць сялян ад паноў-феадалаў.

425 — 12.11.1572 г. у Заблудаве памёр гетман Вялікага княства Літоўскага, выдатны беларускі дзяржаўны дзеяч, апякун Супрасльскай лаўры, ініцыятар і фундатар першай на Падляшшы друкарні, у якой працавалі беларускія друкары Іван Федаровіч (Фёдараў), Пётр Мсціславец, заблудавянін Грынь Івановіч, заснавальнік манастыра, школы і шпіталя ў Заблудаве, літаратар.

280 — 20.11.1717 г. нар. Георгій Каніскі (пам. 13.02.1795 г.), праваслаўны архіепіскап магілёўскі, выдатны абаронца праваслаўя на Беларусі і Украіне, заснавальнік Магілёўскай духоўнай семінарыі, вязень польскіх уладаў, выступаў супраць акаталічвання і паланізацыі беларусаў і украінцаў, аўтар вершаў, інтэрмедый, пропаведзяў. Кананізаваны беларускай Царквою.

130 — 27.11.1867 г. нар. Іван Жалтоўскі (пам. 16.07.1959 г.), архітэктар, акадэмік, педагог, між іншым, рэканструяваў і запланіраваў сучасны Гомель, цэнтральныя жылыя кварталы Мінска, аўтар шэрагу тэарэтычных прац па архітэктуры.

115 — 3.11.1882 г. нар. Якуб Колас (сапр. Канстанцін Міцкевіч, памёр 13.08.1956 г.), пісьменнік і грамадскі дзеяч, адзін з заснавальнікаў сучаснай беларускай літаратуры. Друкавацца пачаў у 1906 г. у газеце „Наша доля". Паэмы: „Новая зямля" (1923), „Сымон-музыка" (1925), „Суд у лесе" (1943), „Адплата" (1946), „Рыбакова хата" (1947), аповесці „У палескай глушы" (1923), „У глыбі Палесся" (1927), „На ростанях" (1955) склалі трылогію „На ростанях", „На прасторах жыцця" (1926), „Дрыгва" (1934), п'есы, каля дваццаці зборнікаў вершаў, апавяданняў, нарысаў, апрацовак народных казак, твораў для дзяцей. У 1939 г. наведаў Беласток і ў будынку сённяшняга тэатра ім. А. Вянгеркі выступаў з вершамі перад дэпутатамі Народнага сходу.



Якуб Колас

Рэпрадукцыя з фондаў Літаратурнага музея Якуба Коласа

110 — 4.11.1887 г. нар. Цішка Гартны (сапр. Зміцер Жылуновіч), замучаны НКУСаўцамі

11.04.1937 г., пісьменнік і выдатны беларускі дзяржаўны дзеяч, галоўны ініцыятар і змагар за Рэспубліку Беларусь, старшыня Часовага рабоча-сялянскага Савецкага ўрада Беларусі, рэдактар газет „Дзянніца” і „Савецкая Беларусь”, заснавальнік часопіса „Полымя”, актыўны дзеяч Інстытута беларускай культуры і акадэмік АН Беларусі. Пісаць пачаў у 1908 г., змяшчаючы вершы, празаічныя творы і карэспандэнцыі ў „Нашай ніве”, выдаў больш за 10 зборнікаў паэзіі і прозы, раман „Сокі цаліны” (1922-30), драмы: „Хвалі жыцця” (1918), „Сацыялістка” (1924), „Дзве сілы” (1927).

100 — 5.11.1897 г. нар. Дзімітрый Паўлаў, генерал, з 22 чэрвеня 1941 г. (першага дня вайны з Германіяй) прызначаны камандуючым Заходняга фронта (у асноўным цяперашняя Беласточчына і Гарадзеншчына). Сталін, каб зняць з сябе адказнасць за паражэнні Чырвонай Арміі, аб’явіў Д. Паўлава здраднікам і загадаў расстраляць, генерала расстралялі 27.07.1941 г.

— 10.11.1897 г. у Бельску-Падляшскім нар. Якаў Бранштэйн (расстраляны НКУСаўцамі 2.05.1938 г.), крытык і літаратуразнавец, насаджальнік у Беларусі сацыялістычнага рэалізму і вульгарна-сацыялагічнай ацэнкі літаратурнай творчасці, стварaў падставы для вынішчэння НКУСам беларускіх пісьменнікаў. Усю дакастрычніцкую беларускую літаратуру лічыў буржуазна-нацыяналістычнай, кулацкай. Я. Купалу і Я. Коласа і іншых беларускіх творцаў абвінавачваў у буржуазным нацыяналізме, варожасці і здрадзе савецкай уладзе, адкрыты вораг беларушчыны.

95 — 9.11.1902 г. нар. Несцер Сакалоўскі (пам. 13.11.1950 г.), кампазітар, хормайстар, фальклярыст, выхаванак Беларускай кансерваторыі, франтавік, у музычных установах з 1926 г., заснавальнік і хормайстар шэрагу беларускіх хораў, аўтар інструментальных і вакальных твораў, многіх песень на словы Я. Купалы і іншых беларускіх паэтаў, апрацаваў болей за 500 беларускіх народных песень, ахвярны працаўнік у папулярызацыі беларускага меласу.

— 18.11.1902 г. нар. Міхась Машара (пам. 7.06.1976 г.), пісьменнік, дзеяч рэвалюцыйнага руху ў Заходняй Беларусі, чатыры гады зняволення ў Лукішках, рэдактар „Нашай волі” (1927), некаторы час жыў, дзейнічаў і пісаў у Саколцы. Друкаваўся з 1927 г., выйшла некалькі зборнікаў яго вершаў і сатыры, паэмы: „Вяселле” (1933), „Смерць Кастуся Каліноўскага” (1935), „Мамчына горка” (1936), п’есы: „Вось тут і разумей” (1933), „Лёгкі хлеб” (1936), „Чорт з падпечча” (1938), раманы: „Крэсы змагаюцца” (1966), „Сонца за кратамі” (1968), „Лукішкі” (1970), „Прыйдзе час...” (1975).

90 — 14.11.1907 г. нар. Міхась Ларчанка (пам. 31.07.1981 г.), літаратуразнавец, педагог, знаўца беларускага фальклору і беларускай літаратуры XIX ст., выхаваўца некалькіх пакаленняў беларусістаў як прафесар і дэкан беларускай філалогіі Мінскага універсітэта, аўтар манаграфіі „На шляху да рэалізму” (1958), „На шляху рэалізму” (1959), „Жывая спадчына” (1977), „Яднанне братніх літаратур” (1974), „Літаратурнае пабрацімства славян” (пасмяротна, 1984), наведваў Беласточчыну, тут цікавіўся беларускім літаратурным рухам і школьніцтвам. Любімец беларускай студэнцкай моладзі.

80 — 7.11.1917 г. нар. Міхаіл Блішч (пам. 9.05.1966 г.), жывапісец і мастак тэатра, франтавік, асноўная праца — мастацкае афармленне пастановак Беларускага тэатра оперы і балета, сярод карцін: „Купальскі вечар” (1960), „Батлейка” (1962).

65 — 15.11.1932 г. была адкрыта ў Мінску Беларуская кансерваторыя як вынік завяршэння развіцця сістэмы музычнай адукацыі на Беларусі. З бегам часу стала асноўнай кузняй спецыялістаў высокага класа па ўсіх галінах музычнай культуры, з яе выйшлі самыя выдатныя беларускія кампазітары, выканаўцы і дзеячы.

60 — 1.11.1937 г. нар. Уладзімір Верамейчык, паэт і педагог, першы верш надрукаваў у 1955 г., выдаў некалькі зборнікаў паэзіі і кнігу публіцыстыкі „Гарызонты сельскіх педагогаў: запіскі дырэктара школы” (1984), востры сатырык.

(мг)

■ Калісь пісалі

М. Крынкі Горадзенскага павету

Вельмі цікава праходзіла перапісь, якая была зроблена па загаду Галоўнага Статыстычнага Ураду Рэчыпаспалітай. За некалькі дзён да гэтай перапісі ў нас было ўжо чутно аб ёй. І вось 4-га кастрычніка дайшоў чарод да нашай вёскі. Хаця мы і чулі, што перапісь будзе аднадзённая, але-ж яна пачалася 30 верасьня і працягнулася да 4-га кастрычніка ўлучна. У нашай вёсцы рэгістрацыю праводзіла вучыцелька Я. Ст. Сьпісаўшы ўсё да пытаньня „język ojczysty”, яна і задае гэтае пытаньне мне. „Беларускі”, адказваю ёй, але яна піша: „polski i białoruski”. Далей даходзіць да пытаньня: „Do jakiej zalicza siebie narodowości” і пытаецца. Я адказваю: „да беларускай”, а яна ўсьміхаючыся піша: „Rosjanin”. Добра заўважыўшы, як зрэдагавана на блянку гэтае пытаньне, я і кажу паненцы: „Паненачка, вы памыліліся, а беларус, а не расеец”, а яна адказвае, што гэта справа ад яе не залежыць, што яе так навучыў „інструктар”. Пачакайце, кажу, інструктар мо з Крынак, а найбольш калі ў Горадне пражывае, а блянкі прыйшлі з Варшавы ад Галоўнага Статыстычнага Ураду, дык трэба больш увагі зварачываць на тыя пытаньні, якія ёсьць у іх, чымся на пана „інструктара”. Паненка зноў засьмяялася толькі, а памылкі так і не папраўіла. Мне зрабілася цяжка на душы з той прычыны, што з сёньняшняга дня я „расеец”, а не беларус, але-ж рады ніякай даць ня мог...

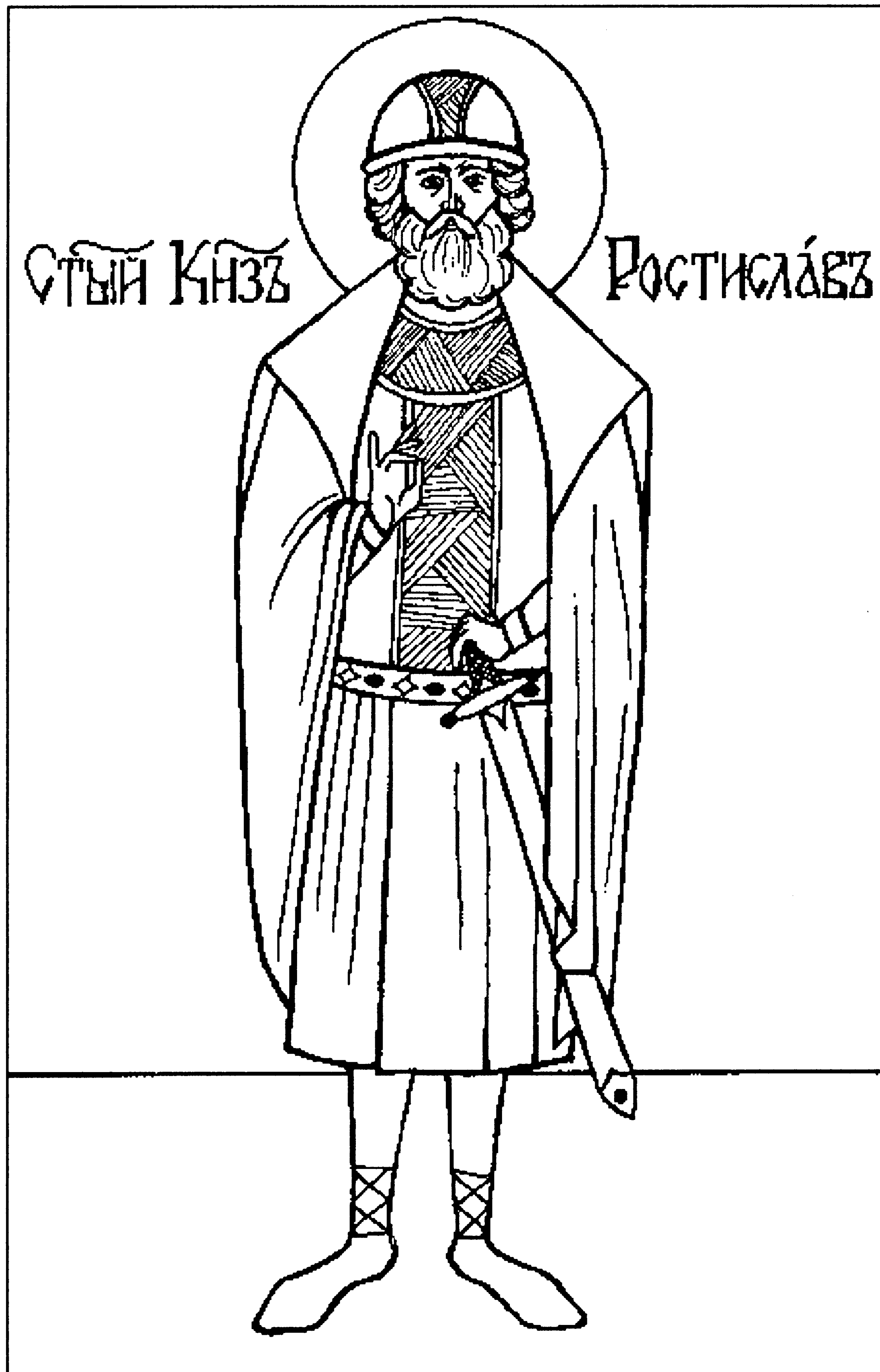
Панэ „інструктары”! Пішэце на паперы, перарабляйце на ім беларусаў на маскоўцаў і палякаў, але ў глыбіні нашых сэрцаў перарабіць нас вам не ўдасцца.

Супрон Дзяга

„Беларускія ведамасці”, 24.X.1921 г., с. 4.

Święty Rościsław

(książę smoleński i wielki książę kijowski)



Życie i działalność świętego wielkiego księcia Rościsława, zwanego Pobożnym, przypada na okres największej świetności Ziemi Smoleńskiej. Za jego panowania osiągnęła ona największy zasięg terytorialny, a Cerkiew prawosławna cieszyła się wielkim wsparciem ze strony państwa.

Wielki Książę Rościsław (na chrzcie świętym otrzymał imię Michał) był synem wielkiego księcia kijowskiego Mścisława i szwedzkiej księżniczki Krystyny. Urodził się między 1100 a 1110 r. W 1125 r. książę Mścisław objął tron wielkoksiążęcy w Kijowie, zaś na stolec smoleński wyznaczył swego syna Rościsława. Księstwo Smoleńskie było rozległe i zamożne, a zamieszkiwało go białoruskie plemię Krywiczów. Poza prowadzeniem wojen, co w owych czasach uchodziło za rzecz naturalną, które miały zapobiec rozbiciu dzielnicowemu Rusi Kijowskiej, energiczny władca prowadził szeroko zakrojoną akcję budowania nowych miast, wznoszenia cerkwi i fundowania monasterów.

Dzięki staraniom św. Rościsława w 1137 r. w Smoleńsku powstała katedra biskupia, zaś miasto otoczono murami obronnymi. W centrum wznosił się imponujący Kreml. Pierwszym biskupem Smoleńska został władyka Manuel. Książę Rościsław stał się inicjatorem odnowienia smoleńskiego soboru Zaśnięcia Matki Bożej, który był zbudowany jeszcze przez jego dziada — księcia Włodzimierza Monomacha. W miejscu śmierci św. Gleba kazał wybudować świątynię ku czci świętych braci-męczenników.

Święty Rościsław wspierał też budowę innych świątyń oraz rozwój życia monastycznego na Ziemi Smoleńskiej. Niewątpliwą zasługą tego władcy było nie tylko umocnienie księstwa, ale również przeciwdziałanie postępującemu wówczas na Rusi rozbiciu dzielnicowemu.

Wielki książę Rościsław cieszył się szacunkiem zarówno wśród możnowładców jak i prostego ludu. Był władcą sprawiedliwym, mądrym, bogobojnym, z szacunkiem odnoszącym się do Cerkwi i duchowieństwa. Wspomagał też biednych i pokrzywdzonych, często zagłębiał się w lekturę Pisma Świętego.

Na Paschę 1159 r., radośnie witany przez lud, Rościsław wjechał do Kijowa, by objąć tron wielkoksiążęcy. Księstwo Smoleńskie przekazał swojemu synowi Dawidowi.

Również w Kijowie książę wspierał rozwój miasta i budownictwo sakralne. Żarliwy obrońca interesów Cerkwi, utrzymywał bliskie kontakty z mnichami Monasteru Kijowsko-Pieczerskiego, szczególnie zaś z archimandrytą Polikarpem.

U schyłku 1166 r. w tradycyjnie niepokornym wobec władzy książęcej Nowogrodzie powstał konflikt między mieszkańcami i księciem Światosławem. W celu jego rozwiązania udał się tam sam wielki książę kijowski Rościsław. Po drodze zachorował, lecz mimo to zdołał rozwiązać nowogrodzkie problemy. Choroba jednak nie ustępowała. Przeczuwając zbliżającą się śmierć, książę kazał zawieść się do Kijowa, ponieważ chciał być pochowany w zbudowanym przez jego ojca Monasterze Fiodorowskim. Jednocześnie obwieścił, że „jeśli Bóg uwolni go od tej choroby, to złoży śluby zakonne w Ławrze Kijowsko-Pieczerskiej". Nie było mu to jednak sądzone. Święty Rościsław zmarł 14 marca 1167 r. (st. st.) we wsi Hordino, kilkadziesiąt kilometrów od Kijowa. Zgodnie z ostatnią wolą zmarłego, ciało spoczęło w Monasterze Fiodorowskim w Kijowie.

Do grona świętych Cerkiew prawosławna zaliczyła księcia smoleńskiego i wielkiego księcia kijowskiego Rościsława w końcu XII lub na początku XIII wieku. Jego pamięć Cerkiew czci 14/27 marca.

Jarosław Charkiewicz

Rys. Grzegorz Nazaruk

■ **REGION**

Białystok

● 5 października odbyła się konferencja sprawozdawczo-wyborcza białostockiego oddziału Białoruskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego przed XIII zjazdem tej organizacji. Uczestniczyli w niej działacze z Białegostoku oraz gmin Gródek, Michałowo i Zabłudów. Zjazd odbędzie się pod koniec listopada, a jego dokładny termin zostanie ustalony, gdy będzie znany kalendarz prac w Sejmie posła SLD, Jana Syczewskiego, przewodniczącego ZG BTSK.

● 6 października Michała Ślamniowa na stanowisku konsula generalnego RB zastąpił Mikołaj Kreczko, b. wiceminister białoruskiego MSW (rozmowa na str. 15-16).

● 9 października białostocki poeta Jerzy Plutowicz został udekorowany Złotą Odznaką „Zasłużony Białostocczyźnie", przyznaną przez wojewodę białostockiego. Jerzy Plutowicz ma 50 lat, tłumaczył m.in. literaturę białoruską, w tym utwory Sokrata Janowicza i Bazylego Pietruczuka.

● Białostocki oddział Związku Literatów Polskich w dniach 9-11 października zorganizował „Świętojańskie Spotkania Poetyckie", z udziałem literatów z Polski, Białorusi i Włoch. Środowisko białoruskie reprezentowali Jan Czykwin z Bielska Podlaskiego oraz Halina Twaranowicz, Aleś Razanau i Aleś Kuskou z Republiki Białoruś. W programie imprezy, zorganizowanej z okazji pierwszej rocznicy zapoczątkowania poetyckiej serii „Świętojańskiej", znalazł się m.in. panel literacki i lekcje literatury prowadzone przez poetów w wybranych szkołach białostockich.

● 10 października odbyła się pierwsza inauguracja roku akademickiego w Uniwersytecie w Białymstoku. W uroczystości uczestniczyło ponad sześćset osób, w tym premier Włodzimierz Cimoszewicz i ostatni prezydent RP na uchodźstwie, Ryszard Kaczorowski.

● 17 października odbył się zjazd Białoruskiego Zrzeszenia Studentów. Trzydziestu uczestników ze środowisk akademickich Białegostoku i Warszawy podsumowało działalność organizacji, dokonało zmian w statucie, wybrało nowe władze i ustaliło plan przyszłych imprez. Dotychczasowy przewodniczący, Łukasz Stepaniuk, złożył rezygnację. Jego miejsce zajął Jerzy Szulski, student II roku filologii rosyjskiej z białorutenistyką Uniwersytetu w Białymstoku. Wiceprzewodniczącym został Mirosław Pac, student II roku filologii białoruskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Zgodnie z nowym statutem będą oni kierować organizacją przez najbliższe dwa lata (dotychczas kadencja władz trwała jeden rok). Białoruscy studenci tradycyjnie zorganizują otrzęsiny w Białymstoku i Warszawie, rajd „Baćkauszczyna" i festiwal „Basowiszcza".

● Biuro poselskie posła SLD Jana Syczewskiego znajdzie siedzibę przy ulicy Warszawskiej 11, gdzie mieści się Zarząd Główny BTSK, którego poseł Syczewski jest przewodniczącym. Według niego, biura dwóch innych posłów SLD z woj. białostockiego, Włodzimierza Cimoszewicza i Siergieja Plewy, nie będą znajdować sie w budynku BTSK.

● Podczas siódmej aukcji monastycznej, zorganizowanej przez Bractwo Prawosławne Świętego Mikołaja, sprzedano 50 eksponatów na sumę 700 złotych. Znalazły nabywcę m.in. zabytkowe skrzypce (za 120 zł), albumy, kasety i ikony. Dotychczas podczas wszystkich aukcji zebrano 8 300 złotych, które zasiliły konto odbudowy monasteru męskiego w Supraślu.

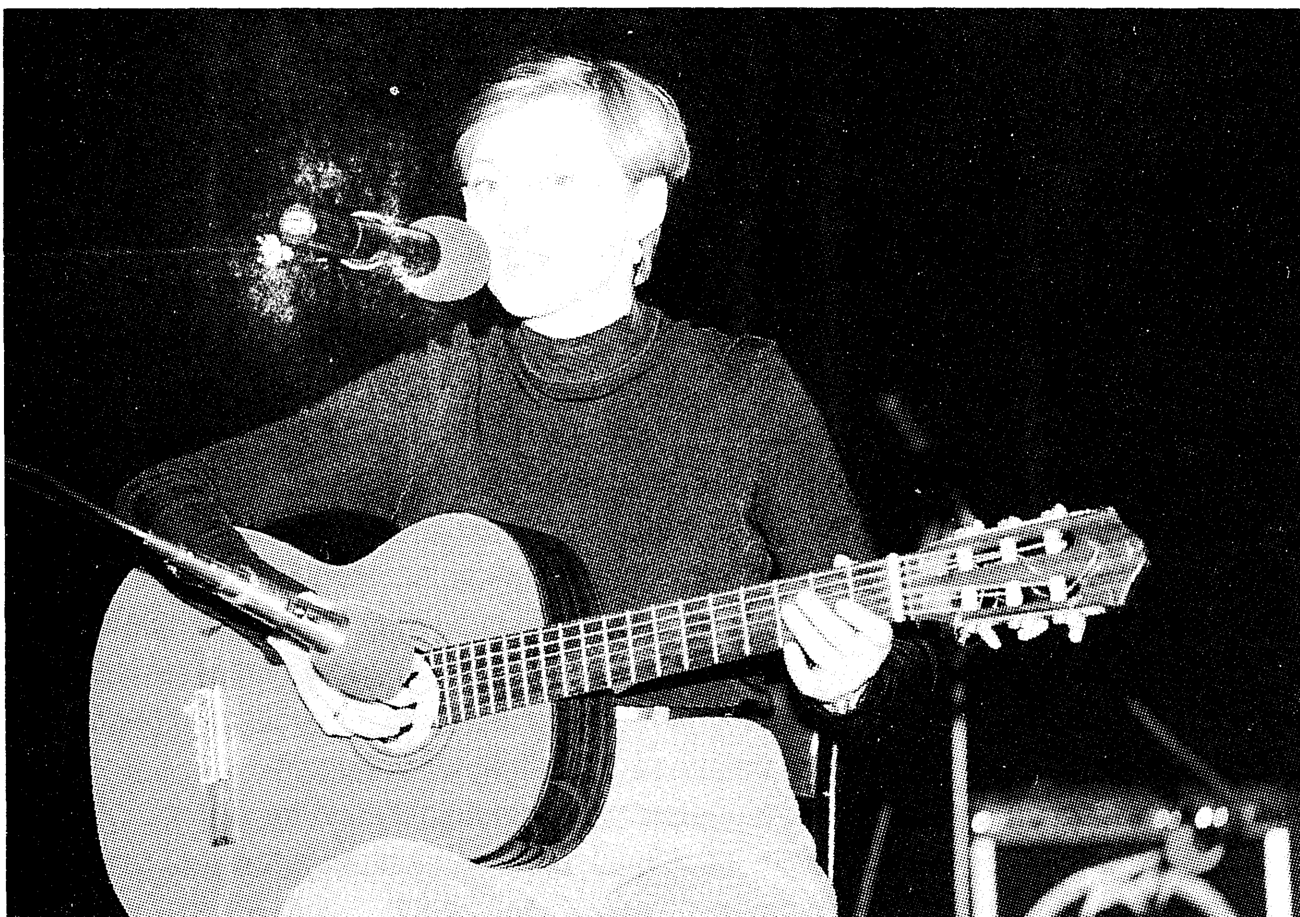
● W kawiarni „Fama" przy ul. Legionowej można obejrzeć ponad 40 rysunków Władysława Pietruka. Dominuje tematyka białostocka oraz przykłady tradycyjnej architektury wiejskiej. Prace są zaledwie niewielką cząstką kilkunastoletniego dorobku autora. Władysław Pietruk urodził się we wsi Narojki koło Drohiczyna. Jest absolwentem Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Supraślu oraz Wyższej Szkoły Grafiki i Grafiki Książkowej w Lipsku. Jego rysunki od kilku lat są publikowane na łamach naszego miesięcznika w cyklu „Kronika miejscowości".

Bielsk Podlaski

● 9 października w Bielskim Domu Kultury odbył się wieczór poezji Nadziei Artymowicz. Mieszkająca w Bielsku Podlaskim białoruska poetka mówiła o swojej twórczości i czytała wiersze. Wiele czasu zajęła dyskusja z licznie zgromadzoną publicznością, która na koniec spotkania obdarowała poetkę kwiatami.

● 12 października w Szkole Podstawowej Nr 3 odbyła się konferencja sprawozdawczo-wyborcza Oddziału BTSK w Bielsku Podlaskim. Po podsumowaniu minionej kadencji blisko czterdziestu członków wybrało 15-osobowe plenum oraz tyluż delegatów na XIII Zjazd BTSK. Do nowego zarządu oddziału weszli wszyscy dotychczasowi członkowie oraz jeden przedstawiciel ze wsi Augustowo. Przewodniczącym oddziału ponownie został Bazyli Leszczyński (rozmowa na str. 14-15).

● IV Jesień Bardów odbyła się w dniach 25-26 października. W przesłuchaniach konkursowych na scenie Bielskiego Domu Kultury wzięli udział: Mariusz Orzechowski, Aleś Łoś, Doroteusz Fionik z Alehem Kobzarem i Urszulą Szymkowicz z grupą dziewcząt z Augustowa oraz The Dvery (z Polski), a także Wolha Akulicz, Źmicier Bartosik, Uładzimir Kandrykinski, Aleś Kamocki i Walera Żamojcin (z Republiki Białoruś). Oceniało ich jury w składzie: Andrzej Stepaniuk (burmistrz Bielska Podlaskiego), Jerzy Zawisza (Biuro do spraw Kultury Mniejszości Narodowych i Etnicznych Ministerstwa Kultury RP) i Miko-



Zdobywczyni Grand Prix tegorocznej Jesieni Bardów, Wolha Akulicz **Fot. G. Dąbrowski**

łaj Buszko (dyrektor Hajnowskiego Domu Kultury). Grand Prix (nagrodę bielskiego burmistrza) zdobyła Wolha Akulicz, nagrodę Radia Białystok (sesja nagraniowa) przyznano zespołowi The Dvery, nagrody „Waliły 2" (za awangardowość i szczególne dokonania w muzyce białoruskiej) w tym roku nie przyznano. Doroteusz Fionik z przyjaciółmi i Walera Żamojcin zdobyli nagrody bielskiego oddziału BTSK oraz komitetów rodzicielskich SP nr 3 i II LO z białoruskim językiem nauczania. Po koncercie laureatów wystąpiły gwiazdy: Kasia Kamocka z zespołem i R.F. Braha. Jesień Bardów zorganizował Związek Młodzieży Białoruskiej.

Bobrowniki

● Na grudzień tego roku jest planowane rozpoczęcie obsługi ruchu osobowego na budującym się polsko-białoruskim przejściu granicznym. Inwestycja ta tylko w tym roku pochłonęła 17 mln zł, a do jej zakończenia (planowanego na wrzesień przyszłego roku) potrzeba jeszcze około ośmiu milionów.

Gródek

● 30-lecie współpracy artystycznej z białoruskim zespołem „Rasspiawany Haradok" w Gródeckim Domu Kultury świętował Stefan Kopa, białostocki muzykolog i etnograf, badacz muzycznego folkloru białoruskiego na Białostocczyźnie. Na jubileusz przybyli przedstawiciele władz wojewódzkich i szefowie BTSK. Po godzinnym występie chóru przewodniczący Rady Gminy, Włodzimierz Łukoszyk i wójt Eugeniusz Siemieniuk wręczyli jubilatowi tytuł honorowego obywatela gminy Gródek.

***

● Jak wynika z danych statystycznych, województwo białostockie przoduje w rankingu wskaźników przyrostu liczby mieszkań. W ubiegłym roku przybyło nam 3,5 tysiąca mieszkań, co daje 4,9 mieszkania w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców. Na drugim miejscu znalazło się województwo warszawskie ze wskaźnikiem 2,9. Dane te w zestawieniu z powszechnie wiadomym faktem wymierania wsi na ścianie wschodniej, potwierdzają, że ośrodki miejskie w naszym regionie (szczególnie Białystok) szybko wchłaniają mocno już nadszarpnięty żywioł wiejski.

● Inny wskaźnik. Najlepiej sprzedającą się w kraju wódką jest produkowany przez białostocki Polmos „Absolwent" (co dziesiąta kupowana w Polsce butelka).

XIII Diecezjalny Zjazd Młodzieży

12 października w siedzibie prafii prawosławnej pw. Zmartwychwstania Pańskiego na Słonecznym Stoku odbył się XIII Diecezjalny Zjazd Młodzieży. Tradycyjnie rozpoczął się św. Liturgią, którą celebrował arcybiskup Sawa w asyście duchowieństwa diecezji. Po nabożeństwie, zakończonym *krestnym chodam*, nastąpiły zapisy uczestników (ok. 90 osób).

Po wspólnym obiedzie rozpoczęły się obrady. Przybyłych delegatów powitał arcybiskup Sawa, który w krótkim wystąpieniu dokonał też rocznej oceny działalności Bractwa Młodzieży Prawosławnej. Głos zabrali też zaproszeni goście, m.in. o. Jerzy Boreczko, o. Mikołaj Borowik (opiekun duchowy Bractwa), Sławomir Nazaruk i Marek Masalski. Następnie przewodnicząca Rady Diecezjalnej Młodzieży, Katarzyna Żyżel, przedstawiła sprawozdanie z działalności Bractwa za rok 1996/97. Kolejnym punktem porządku obrad były wybory uzupełniające do zarządu. Na dwa wolne miejsca zgłoszono wielu kandydatów. Najwięcej głosów otrzymali Wojtek Wojciuk z parafii św. Jerzego i Darek Grzybek z parafii Zmartwychwstania Pańskiego. Tomek Bebkiewicz z Kętrzyna został odpowiedzialnym za kontakty z dekanatem olsztyńskim.

Następnie w trzech grupach dyskusyjnych (prowadzący: P. Puczyński, E. Snarska, A. Martonik i A. Kuczyńska) uczestnicy rozmawiali na temat „Bractwo wczoraj, dziś i jutro". Wnioski zaprezentowano na zakończenie obrad. Najwięcej postulatów dotyczyło wzmocnienia wymiany młodzieży pomiędzy parafiami. Zwracano też uwagę na potrzebę prowadzenia kursów językowych: białoruskiego, rosyjskiego i starocerkiewnosłowiańskiego. Inne postulaty to nawiązanie współpracy z katechetami ze szkół średnich i zacieśnienie kontaktów z Syndesmosem.

Wieczorem wszyscy udali się na akafist św. Pantelejmona w parafii w Zaściankach, po którym odbyło się ognisko z kiełbaskami, bigosem, śpiewaniem piosenek i tańcami.

Elżbieta Snarska

Najstarsza Białostocczanka



Dominika Wiluk na schodach swego domu w Wilukach

Fot. (koniec sierpnia br.) S. Kulik

4743568 dni życia miała za sobą najstarsza mieszkanka Białostocczyzny, Dominika Wiluk ze wsi Wiluki w gminie Dubicze Cerkiewne, kiedy świętowała swe 113 urodziny. Przyszła na świat 14 października 1884 roku w rosyjskiej wiosce Sipurka. Jej długie życie było bardzo ciężkie. Okres bieżeństwa i spalenie wsi przez oddział AK dowodzony przez Zygmunta Szyndzielorza, ps. „Łupaszka" — to momenty najtragiczniejsze. Długie lata pracowała ciężko na roli oraz opiekowała się cudzymi dziećmi.

Obecnie prawie nie słyszy, ale potrafi jeszcze przejść po podwórku bez pomocy laski. Wraz z córką Marią mieszka w bardzo skromnych warunkach, zajmując pokój o powierzchni siedmiu metrów kwadratowych, obok najmłodszego syna. Najstarszy syn pani Dominiki już nie żyje, średni mieszka w Suwałkach.

Szacowna jubilatka lubi pić zioła, szczególnie kwiat lipy i dziurawiec. Być może to jest sekretem jej długowieczności i sprawia, że staruszka po ponad stu latach ma zdrowy umysł, o czym świadczy jej zainteresowanie prasą, radiem i telewizją.

14 października Dominikę Wiluk odwiedził wójt Anatol Pawłowski wraz z delegacją z Urzędu Gminy w Dubiczach Cerkiewnych. Obecna była też liczna rodzina jubilatki (doczekała się dziesięciorga prawnuków). Wszyscy zaśpiewali 200 lat!

Sławomir Kulik

■ KRAJ

Warszawa

● Spotkanie przygotowawcze do XI Konferencji Europejskich Sądów Konstytucyjnych postanowiło, że Trybunał Konstytucyjny Republiki Białoruś nie będzie pełnoprawnym członkiem tej organizacji. — Warunkiem przyjęcia do Konferencji jest spełnienie standardów demokratycznego państwa — powiedział prezes polskiego TK, Andrzej Zoll. Przyczyną odmowy było bezprawne odwołanie Sądu Konstytucyjnego Republiki Białoruś po jesiennym referendum w ub.r.

● We wrześniu w programie II TVP powstała redakcja ekumeniczna, przygotowująca programy dotyczące Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej. Pracami redakcji kieruje teolog prawosławny, ks. Henryk Paprocki. Audycje przedstawiające życie Kościołów mniejszościowych nadawane są w każdy czwartek o godz. 16.10. 27 listopada zostanie nadany reportaż pt. „Ikona", który został zrealizowany w Policealnym Studium Ikonograficznym w Bielsku Podlaskim. 4 grudnia będzie zaprezentowana sylwetka prof. Jerzego Nowosielskiego. Ks. Henryk Paprocki uważa, że w przyszłym roku czas antenowy redakcji ekumenicznej ulegnie zwiększeniu.

● Polskie Towarzystwo Ubezpieczeniowe Polisa podpisało porozumienie o współpracy i wspólnej obsłudze klientów z białoruską firmą ubezpieczeniową Biełgosstracha. Umowa umożliwi sprzedaż polis ubezpieczeniowych polskiej firmy w Białorusi i uprości formalności związane z wypłatą odszkodowań Polakom podróżującym po Republice Białoruś.

● Premier Włodzimierz Cimoszewicz w ostatnim dniu urzędowania z rezerwy budżetowej przekazał 1,5 mln zł na inwestycje w województwie białostockim. Z tej puli 600 tys. zł będzie przeznaczone na remont monasteru supraskiego, 400 tys. zł na dokończenie budowy szkoły podstawowej w Narewce, tyleż na dokończenie budowy sali gimnastycznej w szkole podstawowej w Kleszczelach oraz 100 tys. zł na remont prawosławnej plebanii w Białowieży.

● Część kierownictwa Unii Pracy — m.in. Wojciech Borowik, Tomasz Nałęcz i Wiesława Ziółkowska — po przegranych przez tę partię wyborach parlamentarnych chce zbliżenia z Sojuszem Lewicy Demokratycznej. Innym, np. Zbigniewowi Bujakowi, bardziej odpowiada koalicja z Unią Wolności. Przewodniczący partii, Ryszard Bugaj, który zawiesił pełnienie tej funkcji do kongresu (zaplanowanego na luty przyszłego roku, osiem miesięcy wcześniej niż przewiduje statut) uważa natomiast, iż sens Unii Pracy polega na samodzielności. Podobnego zdania jest większość kierownictwa partii. Przypomnijmy, że zawarte wiosną br. porozumienie Związku Białoruskiego w RP z UP obliguje strony do współdziałania bez względu na wynik wyborów.

Wilanów k. Warszawy

● 16 października, w ramach „Wieczorów kultur narodów i narodowości", organizowanych przez Wilanowski Ośrodek Kultury, odbył się wieczór białoruski. Jego program obejmował występy artystów z Republiki Białoruś oraz otwarcie dwóch wystaw malarskich — Stanisława Kiczko z Mińska i poplenerowej wystawy studentów etnografii Uniwersytetu Warszawskiego, którzy latem przebywali w Białorusi. Współorganizatorem wieczoru, który zgromadził około 70 osób, była Ambasada RB w Warszawie.

Przemyśl

● 13 października zakończył się I Międzynarodowy Festiwal Filmów i Programów Telewizyjnych o Mniejszościach Narodowych i Etnicznych „U siebie". Nadawany przez Telewizję Białystok magazyn mniejszości „Sami o sobie" zdobył nagrodę dziennikarzy (2,5 tys. marek niemieckich). Szerzej o przemyskim festiwalu piszemy na str. 17-19.

■ REPUBLIKA BIAŁORUŚ

Grodno

● Zmiana białoruskiego konsula w Białymstoku zbiegła się w czasie z nominacją Sylwestra Szostaka na nowego konsula polskiego w Grodnie. Szostak jest zawodowym dyplomatą, m.in. był konsulem w Lipsku (NRD).

Mińsk

● Zaplanowana na 2 października oficjalna podróż Aleksandra Łukaszenki do dwóch rosyjskich obwodów — lipieckiego i jarosławskiego — nie doszła do skutku. Po czterech godzinach oczekiwania orszak limuzyn zawrócił z podstołecznego lotniska. Władze rosyjskie nie wyznaczyły korytarza powietrznego dla samolotu Łukaszenki, gdyż — jak oficjalnie podano w Moskwie — Mińsk zbyt późno poinformował o tej wizycie. Borys Jelcyn oświadczył wprost, że zabronił wpuszczania białoruskiego prezydenta do Rosji, dopóki ten nie uwolni z więzienia Pawła Szeremieta. Już w lipcu w podobnych okolicznościach nie doszło do wizyty Łukaszenki w obwodzie kaliningradzkim. Kreml jest niechętny wojażom prezydenta RB po prowincjach Rosji i jego brataniu się z tamtejszymi komunistycznymi gubernatorami.

● 8 października Łukaszenka ugiął się w końcu pod presją Kremla i uwolnił Pawła Szeremieta. Miński korespondent rosyjskiej telewizji publicznej ORT przebywał w areszcie w Grodnie przez 73 dni. Jego sprawa wywołała największy kryzys w stosunkach Wspólnoty Białorusi i Rosji od czasu jej powołania w kwietniu br. Szeremiet ma odpowiadać z wolnej stopy za próbę nielegalnego przekroczenia granicy litewsko-białoruskiej. Grozi mu za to kilka lat więzienia. Uwolnienia Szeremieta domagały się organizacje dziennikarskie i praw człowieka.

● Aleksander Łukaszenka wydał dekret „O pilnych środkach dotyczących wzmożenia dyscypliny pracy i produkcji". Zgodnie z nim za spóźnienie lub przedwczesne wyjście z biura można zostać zwolnionym z pracy, a winni naruszenia zasad chronienia własności państwowej będą karani grzywnami w wysokości od 30 do 300 minimalnych pensji.

● 19 października po raz kolejny demonstrowali dziennikarze z niezależnych mediów. Wyszli na ulice z zawiązanymi ustami, protestując w ten sposób przeciwko przyjęciu ustawy prasowej, zakazującej krytykowania prezydenta. Ustawa, zakładająca m.in., że decyzję o zamknięciu wydania gazety będzie mógł podjąć nie tylko sąd, ale też rządowy komitet ds. prasy, czeka na głosowanie w senacie i podpis prezydenta.

● 21 października przekazano wiernym odbudowaną katedrę katolicką. W uroczystości uczestniczyli: zwierzchnik Kościoła katolickiego na Białorusi, kardynał Kazimierz Świątek, prymas Polski Józef Glemp i duchowieństwo katolickie z Polski, Białorusi i Rosji. Przybył też prezydent Aleksander Łukaszenka. Przemawiając w świątyni stwierdził, że Białorusi brakuje duchownych, ale wielu wiernych jest zdziwionych faktem, że do ich parafii przyjeżdżają księża z Polski, a głównym językiem wykładowym

w seminarium duchownym w Grodnie jest polski.

Połock

● 27 września, w dniu święta Podwyższenia Krzyża Pańskiego, w podniosłej atmosferze do soboru wniesiono wierną kopię krzyża księżnej Eufrozyny. XII-wieczny oryginał — dzieło mistrza Łazarza Bohszy — zaginął bez śladu. Idea odtworzenia relikwii zrodziła się pięć lat temu. Poparły ją Zjednoczenie Białorusinów Świata „Baćkauszczyna" i Cerkiew prawosławna. Pomoc materialną zapewniło państwo. Zadanie wykonania kopii powierzono jubilerowi z Brześcia, Mikołajowi Kuźmiczowi. Metropolita Filaret z pielgrzymki do miejsc świętych przywiózł cyprysowe drewno na trzon krzyża oraz święte relikwie: krew Chrystusa, kamień z Grobu Pańskiego i grobu Najświętszej Marii Panny oraz szczątki świętych męczenników. Patriarcha Jerozolimy Teodor II podarował cząstkę krzyża, na którym rozpięto Jezusa. Starania o odnalezienie oryginalnego krzyża księżnej Eufrozyny trwają nadal. Po bezskutecznych poszukiwaniach w prywatnych kolekcjach na Zachodzie, pojawił się ślad wskazujący na Moskwę.

***

● Po kraju krąży co najmniej sto tysięcy kopii zakazanego telewizyjnego filmu dokumentalnego pt. „Zwyczajny prezydent". Jego reżyser, Jurij Chaszczewatskij, otrzymał niedawno w Moskwie nagrodę „Za cywilną odwagę artysty" — jedną z nagród im. Sacharowa, przyznawanych przez rosyjskie zrzeszenie pisarzy „Apriel" i partię Demokratyczny Wybór Rosji. Film ten został też nagrodzony na tegorocznym festiwalu w Berlinie. Chaszczewatskij przedstawił rzeczywisty obraz prezydenta Aleksandra Łukaszenki, pozbawiony propagandowych frazesów, docierających do widzów za pośrednictwem państwowej telewizji.

■ ŚWIAT

Belgia

● Jednym z ostatnich raportów, analizowanych przez urzędników NATO w Brukseli, był „Punkt zapalny rozszerzenia NATO numer jeden" autorstwa Teda Carpentera i Andrew Stone'a z Instytutu Cato w Waszyngtonie. Według ich scenariusza, rządy Aleksandra Łukaszenki doprowadzą do rozpadu Białorusi i totalnego chaosu na wzór b. Jugosławii, Afganistanu, Somalii czy Zairu. W obliczu zamieszek za wschodnią granicą słaba armia polska poprosi o pomoc NATO. Koncentracja wojsk Sojuszu Północnoatlantyckiego na Bugu wywoła reakcję Rosji, mocarstwa nuklearnego. Taki scenariusz eksperci w Brukseli ocenili jako mniej niż nieprawdopodobny. Grzegorz Gromadzki z Ośrodka Studiów Wschodnich w Warszawie twierdzi, że niepokoje na większą skalę są dziś na Białorusi wykluczone. — Chyba żeby był głód, ale na to się nie zanosi.

Francja

● Jerzy Giedroyc, redaktor paryskiej „Kultury", 9 października z rąk prezydenta Algirdasa Brazauskasa odebrał tytuł honorowego obywatela Litwy. W uroczystości uczestniczył prezydent RP Aleksander Kwaśniewski. Ponad 90-letni dziś Giedroyc otrzymał to wyróżnienie w dowód uznania za zasługi dla stosunków polsko-litewskich. Od początku wydawania „Kultury" (pierwszy numer ukazał się 50 lat temu) był zwolennikiem idei ULB — Ukraina, Litwa, Białoruś jako państwa niepodległe.

Mołdawia

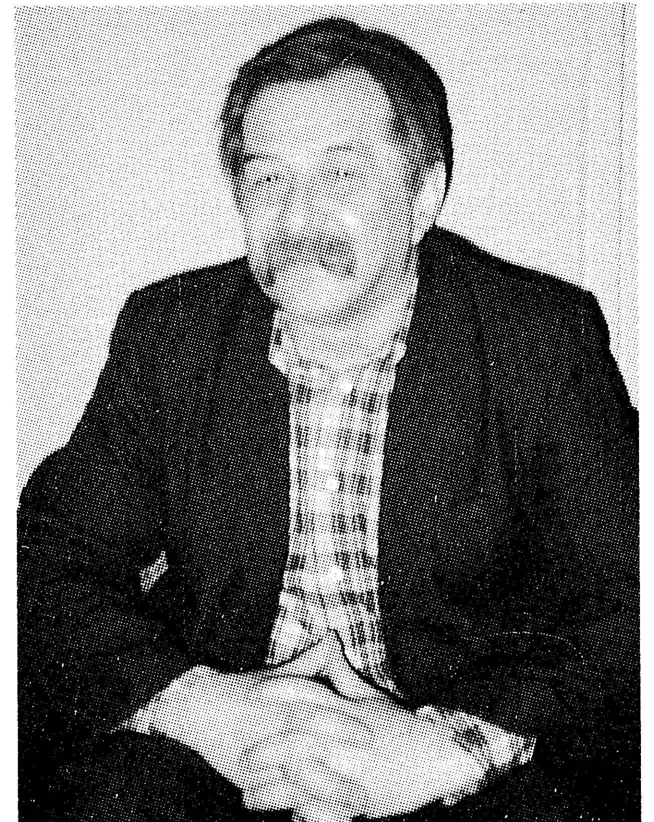
● 23 października w Kiszyniowie zakończył się szczyt Wspólnoty Niepodległych Państw. Wbrew prognozom zachodnich komentatorów, przewidujących rozwiązanie tej organizacji, po burzliwej dyskusji postanowiono tę decyzję odłożyć do czasu kolejnego spotkania szefów dwunastki, zaplanowanego na 23 stycznia przyszłego roku. Zwolennikami pozostawania w tej strukturze są: Armenia, Białoruś, Kirgizja i Tadżykistan. Przychyla się do tego także Rosja, której zależy na kontroli gospodarczej, wojskowej i politycznej na obszarze b. ZSRR. Azerbejdżan, Gruzja, Turkmenia, Ukraina i Uzbekistan optują za likwidacją WNP, która jak na razie nie odegrała żadnej roli w rozwoju państw członkowskich. Mołdawia i Kazachstan wahają się w zależności od sytuacji.

Włochy

● Nakładem galerii Gabrieli Cardazzio w Wenecji ukazały się „Miniatury" Sokrata Janowicza. Sokratki — małe formy literackie białoruskiego pisarza z Krynek — zostały przetłumaczone na włoski i angielski. Szefowa galerii wyreżyserowała też film dokumentalny o życiu i twórczości Sokrata Janowicza.

Бельскі варыянт

Размова з Васілём Ляшчынскім, старшынёй аддзела Беларускага грамадска-культарнага таварыства ў Бельску-Падляшскім.



Юры Каліна: *Бельск-Падляшскі гэта фактычна адзіны горад у Польшчы, у якім супрацоўнічаюць з сабой усе беларускія арганізацыі. Я сказаў бы нават, што ў вас іншыя беларускія дзеячы маглі б вучыцца, як весці грамадскую дзейнасць. Яг гэта сталася?*

Васіль Ляшчынскі: Я лічу, што ў нас гэта атрымалася натуральна. Людзі, якія дзейнічаюць у іншых беларускіх арганізацыях з'яўляюцца нашымі сябрамі і таму было б дзіўна, калі б мы не маглі дамовіцца на грамадскай ніве. А працы столькі, што кожнага можна абдзяліць, а то і яшчэ застанецца. Мы так і робім — усе беларускія мерапрыемствы ў Бельску ладзім супольна. Вельмі добрым прыкладам ёсць „Спасаўскія запусты". Дарэчы, ідэя ўзнікнення гэтага культурна-мастацкага мерапрыемства ўзялася адтуль, што бельскія беларусы дайшлі да высновы, каб нешта супольна зрабіць для нашага грамадства. Бельскі аддзел Беларускага грамадсеа-культурнага таварыства ўключаецца таксама ў падтрымку мерапрыемстваў ладжаных іншымі арганізацыямі. Традыцыйна ўжо фундуем узнагароды пераможцам Фестывалю аўтарскай песні „Бардаўская восень" ды дапамагаем чым можам рэдактар Ганне Кандрацюк, якая наладжвае Сустрэчы «Зоркі».

***Ю.К.:** На жаль, такога супрацоўніцтва няма ў іншых гарадах, для прыкладу, у Беластоку. Там гэтыя арганізацыі дзейнічаюць аўтаномна, а можна нават сустрэць прыклады варожасці. Як гэта выглядае з бельскай перспектывы?*

В.Л.: Скажу адкрыта: такое нас вельмі засмучае і здзіўляе. А так у сапраўднасці — то мы асабліва гэтым не цікавімся. Я выходжу з такога прынцыпу, што ўсюды, дзе ёсць людзі, якія хочуць нешта зрабіць для беларускай справы — заўсёды можна адзін з адным дагаварыцца. Адзіная ўмова — усе павінны адрачыся часткі сваіх амбіцыяў, што, маўляў, я — найважнейшы, найразумнейшы, а ўсе астатнія нічога не разумеюць. Калі людзі так будуць думаць, тады супольна напэўна нічога не атрымаецца.

Мы ў Бельску ўжо зразумелі, што не справа ў дзейнасці ўкарысць нейкай адной арганізацыі ці партыі. Большасць беларусаў у Польшчы не з'яўляецца членамі ніводнай беларускай арганізацыі. І наша дзейнасць накіравана перш за ўсё да іх.

***Ю.К.:** Нягледзячы на амаль ідылічнае супрацоўніцтва, Бельск гэта адзіны горад, у якім беларусы не маюць памяшкання для арганізацыйнай дзейнасці. Не мае яго таксама аддзел БГКТ.*

В.Л.: Гэта праўда, але не да канца. Наш аддзел не мае памяшкання, бо няма ў нас сродкаў, каб за яго заплаціць. Ад некалькіх гадоў Галоўнае праўленне нашай арганізацыі не адводзіць на гэту мэту сродкаў, бо, відаць, яны і самі іх не маюць. Моцна хацеўшы, мы самі маглі б яго аплаціць, таму, што на гэта ў нас свае грошы знайшліся б. Але — толькі на гэта, бо са ста мільёнаў старых злотаў, якія ў сярэднім маем на сваім банкаўскім рахунку ў год — на дзейнасць не засталося б нічога!

Нягледзячы на гэта, у Бельску беларусы маюць куды зайсці. Беларускі саюз у рамках рэалізацыі праекту „Бельск-Падляшскі — сэрца пагранічча" наймае невялічкі пакойчык, у якім вядзецца бюракратычная дзейнасць. Апрача таго, як думаю, многім вядома, што дырэктарам Бельскага дому культуры з'яўляецца наш сябра Сяргей Лукашук, у нашым горадзе ёсць дзве вялікія беларускія школы. Калі будзе такая патрэба — гэтыя ўстановы не адмовяцца нам дапамагчы. А калі ўжо трэба будзе прыняць некальні соцень гасцей — у Пачатковай школе нумар 3, якой з'яўляюся дырэктарам, ёсць гімнастычная зала 20 на 40 метраў, якую можна будзе без праблемаў выкарыстаць.

***Ю. К.:** Дзякую за размову.*

Фота Ю. Каліны

Хлеб еў недарам

Пасля двух гадоў і чатырох месяцаў, з пасады Генеральнага консула Рэспублікі Беларусь у Беластоку быў адкліканы спадар Міхаіл Слямнёў. Наш рэпарцёр размаўляў з ім пра поспехі і паражэнні ў час дыпламатычнай службы ў Польшчы.



***Юры Каліна:** Час прабывання на такіх пасадах як Ваша ў дыпламатычнай службе РБ, у сярэднім, працягваецца тры гады. Вас адклікаюць раней, — чаму?*

Міхаіл Слямнёў: Я хачу заўважыць, што тры гады гэта сярэдні час працы ў адным месцы дыпламата такога рангу якім з'яўляюся я. Зразумела, што ад гэтага былі, ёсць і будуць выключэнні. Апрача таго — гэта пытанне не да мяне. Я не маю на руках паперы, на якой напісана, чаму я адкліканы, не было нават ніякай вуснай гутаркі пра гэта.

Я лічу гэта нармальнай з'явай у дыпламатычных установах усіх дзяржаў. Калі ёсць пэўныя мерытарычныя ці палітычныя мэтазгоднасці — ратацыі кадраў адбываюцца і не трэба тут шукаць нейкай сенсацыі. Паколькі нашае міністэрства замежных спраў вельмі вялікае, такое, думаю, адбываецца кожны тыдзень. Так што, да майго ад'езда трэба ставіцца вельмі нармальна. Калі б я тут перапрацаваў толькі адзін год — тады трэба было б шукаць нейкіх глыбейшых прычынаў.

***Ю.К.:** Да паклікання дыпламатычнага прадстаўніцтва Рэспублікі Беларусь у Беластоку сярод тутэйшых беларускіх дзеячаў былі вялікія спадзяванні наконт таго, што яно нейкім чынам паспрыяе іх дзеянням на беларускай ніве. Пасля некаторага часу я асабіста чуў, што так не сталася. Чаму, на вашу думку, гэтыя вялікія спадзяванні не апраўдаліся на практыцы?*

М.С.: На маю думку ўсё тое, што было ў нашых магчымасцях, каб аказаць дапамогу беларускай нацыянальнай меншасці ў гэтым рэгіёне, мы рабілі. Безумоўна, трэба тут улічваць сціплыя магчымасці нашай дзяржавы, якая знаходзіцца ў пераходным перыядзе свайго развіцця. Але, нягледзячы на гэта, мы падтрымоўвалі намаганні ўсіх беларускіх арганізацыяў у прапагандзе беларускага слова, песні, школьніцтва. За час маёй службы ў Беластоку мы забяспечылі прыезд шэрагу прадстаўнічых дэлегацыяў з Беларусі, якія, як кажуць, не ехалі сюды з пустымі рукамі. Яны прывозілі падручнікі па беларускай мове і літаратуры, гісторыі Беларусі, тэхнічныя сродкі навучання.

Зроблена таксама нямала для разгортвання экспазіцыі і інтэр'ера Музея беларускай культуры ў Гайнаўцы. Можна назваць і тое, што за гэты час на Беласточчыну прыехала каля сотні музычных калектываў, і пэўна на ўсходняй Беласточчыне няма ніводнай мясціны, дзе б у гэтыя гады не гучалі беларускія песні ў іх выкананні.

Але гэта ўсё — эпізоды. Калі казаць пра нейкія заслугі нашага генеральнага консульства ў супрацоўніцтве ці падтрымцы беларусаў у Польшчы, неабходна ўспоміць пра распрацаванне новым Дзяржаўным камітэтам па рэлігіі і нацыянальнасцях праграмы садзейнічання беларускім арганізацыям Беласточчыны ў сферы культуры і аду-

кацыі. Гэта наша консульства дамагалася яе апрацавання. Я думаю, што на аснове гэтага дакумента дапамога з боку Беларусі будзе мець больш сістэматычны характар. З праектам гэтай праграмы знаёмы прадстаўнікі шэрагу беларускіх арганізацыяў на Беласточчыне. І, паводле іх думкі, на пачатак гэта зусім нядрэнна задумана. А тое, што не ўсё тут у Вас атрымоўваецца, як было б пажадана — гэта не толькі віна Рэспублікі Беларусь. Гэтаму вінаваты і самі беларусы, якія жывуць у гэтым рэгіёне. Як не кажы, але крыўдна хаця б тое, што на ўвесь Беласток знайшлося ўсяго каля дзесятка дзетак, якія ў першым класе адной з пачатковых школ вывучаюць беларускую мову. Калі, для прыкладу, у Гродне нядаўна была адкрыта вялікая сярэдняя школа, у якой большасць прадметаў вядзецца на польскай мове. Такія поўнасцю польскія школы ёсць у Лідзе, Навагрудку. Нягледзячы на тое, што беларуская дзяржава не ў змозе надта ўспамагаць польскае школьніцтва ў сябе — яно аднак развіваецца. Гэтая дапамога параўнаўча такая як дапамога польскай дзяржавы беларусам у Польшчы. Іншая справа — грамадскія арганізацыі. Скажам, Вспульнота польска ўзяла на сябе вялікі і адказны абавязак ладзіць дапамогу польскаму школьніцтву ў Беларусі. На жаль, такія структуры як „Бацькаўшчына" ці „Радзіма" пакуль што такой актыўнасці не праяўляюць.

Ю.К.: *Мне здаецца, што сакрэт тут у тым, што Вспульнота польска атрымоўвае аграмадныя сродкі з бюджэту. А, наколькі мне вядома, грамадскія арганізацыі ў Рэспубліцы Беларусь не карыстаюцца такімі прывілеямі.*

М.С.: Гэтыя сродкі ідуць у Рэспубліку Беларусь праз Вспульноту польску. І гэта ў адпаведнасці з усімі законамі.

Ю.К.: *Дзякую за размову і жадаю поспехаў у Вашым прафесійным і асабістым жыцці.*

М. С.: Карыстаючыся нагодай, я вельмі дзякую ўсім тым установам і прыватным асобам, якія паспрыялі таму, што маю службу ў Беластоку я лічу ўдалай і не шкадую ніводнага дня, які я правёў на Беласточчыне.

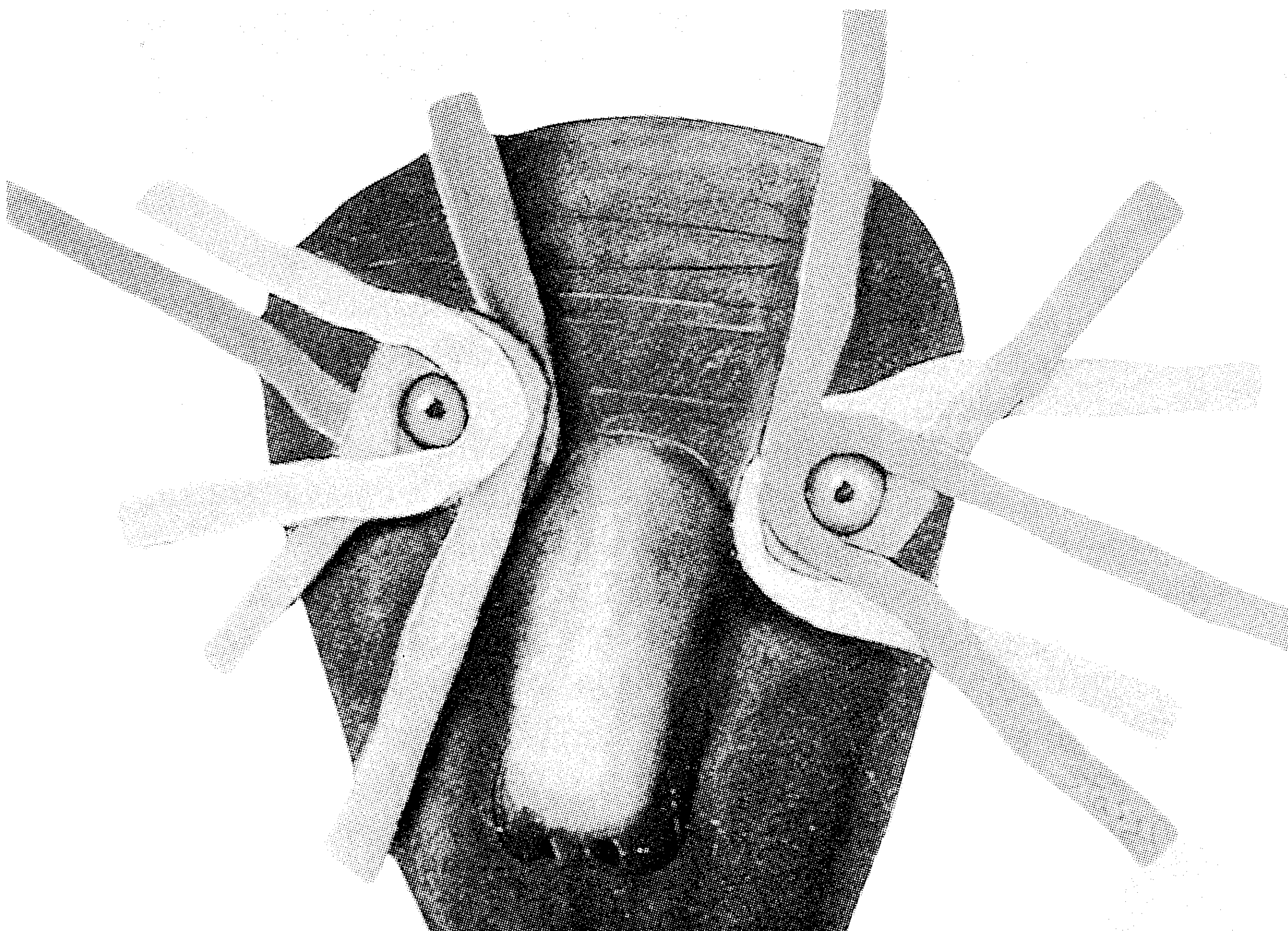
Фота з архіва

U siebie?

Lot

Wysłużony śmigłowiec ląduje wśród mokradeł, na niewielkim skrawku suchego gruntu. Z kabiny wyskakuje mężczyzna i biegnie w kierunku kilku chat stojących nie opodal. Huk motoru śmigłowca zagłusza nerwową rozmowę przybysza z kilkoma ludźmi, którzy wyszli go powitać. Autochtoni to Khantowie — jeden z wielu ludów zamieszkujących od wieków wielkie przestrzenie Zachodniej Syberii.

Ich tryb życia nie zmienił sie od pokoleń. Potrafią przetrwać w ekstremalnych warunkach syberyjskiej tajgi, wśród błot i przepastnych bagien. Formalne zaanektowanie ich ziemi przed kilkuset laty przez Rosjan nie zmieniło ich życia codziennego. W osadzie zamieszkałej przez kilka licznych rodzin, rosyjski zna dwóch-trzech mężczyzn. Pozostali posługują się mową ojców.



Oficjalny plakat festiwalu

Mężczyzna ze śmigłowca coś nerwowo tłumaczy miejscowym. Po chwili z domu wychodzi kilkuletnia dziewczynka. Żegnana przez rodzinę, idzie w kierunku śmigłowca. Mężczyźni mówią, że więcej żadne dziecko nie poleci. Pozostałe muszą pomagać w pracach domowych, pilnować młodszego rodzeństwa.

Śmigłowiec startuje. Przez brudne szyby kilkoro przestaszonych kilkuletnich dzieci obserwuje krajobraz syberyjskich mokradeł. Po kilku takich lądowaniach, maszyna kończy trasę w niewielkiej osadzie. Na dzieci czekają nauczycielki ze szkoły, w której przyjdzie im uczyć się kilka lat. W dodatku — w zupełnie niezrozumiałym języku rosyjskim. Niektóre nie zobaczą rodzin do czasu ukończenia szkoły. Po kilku latach, gdy przyjadą do rodzinnej wsi, przestaną być prawdziwymi Khantami. Ale ten wątek nie jest specjalnie eksponowany.

Film Valentin Kuik z telewizji estońskiej pod tytułem „Lot" zdobył Grand Prix pierwszego Międzynarodowego Festiwalu Filmów i Programów Telewizyjnych o Mniejszościach Narodowych „U siebie".

Na festiwal nadesłano około stu filmów z kilkunastu krajów (m. in. Chin, Wielkiej Brytanii, republik byłego Związku Radzieckiego). Do przeglądu konkursowego zakwalifikowano dwadzieścia trzy. Jury, pod przewodnictwem Krzysztofa Zanussiego, oraz kilkudziesięciu widzów miało możliwość obejrzenia ich w sali kinowej zamku przemyskiego.

Zainteresowanie festiwalem mieszkańców Przemyśla było, delikatnie rzecz ujmując, wstrzemięźliwe. Może to dziwić tym bardziej, iż organizatorzy, Telewizja Polska, European Ethnic Broadcasting Association, rajcy Krakowa i Przemyśla, nie wybrali tego miasta przypadkowo. Przemyśl, jeszcze stosunkowo niedawno miasto naprawdę wielokulturowe, zamieszkałe przez Żydów, Polaków i Ukraińców, w ostatnich latach zasłynął z kilku głośnych konfliktów polsko-ukraińskich. Mimo to, a może właśnie dlatego, w tym mieście od dwóch lat gości Festiwal Kultury Ukraińskiej. Od pierwszej edycji stał się on zresztą solą w oku dla części polskich środowisk

kombatanckich. W założeniach organizatorów festiwal filmów o mniejszościach etnicznych miał „rozmiękczyć" atmosferę waśni polsko-ukraińskich. Trudno raczej przypuszczać, żeby pierwsza edycja imprezy cokolwiek w tej materii zmieniła.

Wiedza na temat festiwalu mieszkańców miasta nad Sanem byłaby z pewnością jeszcze mniejsza, gdyby nie wielki koncert na starówce, z rozmachem zorganizowany przez Telewizję Kraków. Mimo bez przerwy padającego deszczu, kilka tysięcy ludzi przyszło posłuchać znanych wykonawców muzyki folk i rocka (m.in. Wimme i Fisha) oraz zobaczyć profesjonalną realizację telewizyjną widowiska. W porównaniu z koncertem, przegląd filmów oraz seminarium o dziennikarstwie wielokulturowym, odbywające się równolegle z festiwalem, miały charakter raczej kameralny.

Cienka czarna linia

W policji w Wielkiej Brytanii około dziesięć procent funkcjonariuszy to Afrykańczycy i Azjaci. Władze nie są zadowolone z takiego stanu rzeczy. Ich zdaniem ten wskaźnik powinien być wyższy, co najmniej zbliżony do odsetka ich współbraci w brytyjskim społeczeństwie. Tymczasem policjanci ci nie są dobrze traktowani przez kolorowych zajmujących się naruszaniem królewskiego prawa, a nawet czarnoskórych przechodniów. Powszechnie uważa się ich za zdrajców swoich społeczności narodowych. Z drugiej strony, polecenia służbowe czarnych funkcjonariuszy są często ignorowane przez ich białych podwładnych. I koło absurdu się zamyka.

Zdeterminowany młody czarny oficer policji w Birmingham założył stowarzyszenie, którego głównym celem jest obrona praw kolorowych stróżów prawa. Ponieważ jest dobrze wykształcony i cieszy się poparciem szefów — niektórzy wróżą mu błyskotliwą karierę. Inni, realiści, że może źle skończyć.

Film telewizji BBC pt. „Cienka czarna linia" otrzymał jedno z czterech festiwalowych wyróżnień.

Tematyka, wartości poznawcze i walory warsztatowe filmów pokazywanych na przeglądzie konkursowym były różne, podobnie jak kraje, z których pochodziły. Pod każdym względem odbiegały od reszty filmy zrealizowane przez telewizje krajów zachodnioeuropejskich. Poza stroną techniczną, uderzało zupełnie odmienne podejście do tematu. Obrazy takie jak „Razem" (telewizja austriacka — o imigrantach handujących na miejskich bazarach), „Afryka nad Menem" (telewizja niemiecka — o studentach z Ghany, Gambii i Kamerunu w Niemczech) mogły zaskoczyć polskiego widza, przyzwyczajonego raczej do pokazywania mniejszości narodowych w kategoriach mitologiczno-kresowych (np. motyw oracza z koniem na tle zachodzącego słońca) bądź rewizjonistycznych (niemieccy burżuje chcą nam odebrać „polskie ziemie zachodnie") niż partnersko-obywatelskich.

Część filmów przygotowanych przez telewizje państwowe byłych krajów komunistycznych, mimo silenia się ich twórców na stworzenie wrażenia, że mniejszości w ich krajach cieszą się nieskrępowanym dostępem do wszelkich możliwych praw, niepokojąco moco tchnęły duchem minionej epoki. Tak było np. w przypadku filmu telewizji albańskiej „Tęsknota za Ojczyzną", opowiadającego o życiu jednej ze wsi zamieszkałych przez prawosławnych Macedończyków. W pewnym momencie przed prowadzoną niewprawną ręką kamerą pojawia się hierarcha Cerkwi prawosławnej w Albanii... i składa deklaracje lojalności wobec władz państwowych. Po czym długo dziękuje im za stworzenie warunków do „normalnego" funkcjonowania Cerkwi w tym kraju. Podobne wątki można było zauważyć w filmach dotyczących mniejszości gagauzkiej w Mołdawii, Wołochów w Turcji i Rumunów w Serbii.

Jak by nie patrzeć, nachalnie ciśnie się stwierdzenie, że im bardziej niedemokratyczne państwo, im więcej problemów w polityce narodowościowej można mu wytknąć, tym bardziej stara się ono udowodnić, że tak naprawdę to „pozory" mylą.

Moja utracona Łemkowyna

Kroki każdego dziennikarza, który chce zrobić materiał o Łemkach w Polsce, wcześniej czy później muszą skierować się do muzeum etnograficznego Teodora Gocza. W przypadku realizacji telewizyjnej, ubiera się go jeszcze w strój ludowy, sadza na przyzbie, gdy pogoda na zewnątrz nie sprzyja filmowaniu — na ławie w izbie pod ikoną, i rozpytuje o tragiczny los Łemków-tułaczy. Tak mniej więcej przedstawia się scenariusz filmu Andrzeja Potockiego, zrealizowanego w Telewizji Rzeszów, pod tytułem „Moja utracona Łemkowyna".

Taka nostalgiczno-wspomnieniowa maniera przedstawiania rodzimych mniejszości narodowych jest zresztą charakterystyczna dla całego dotychczasowego dorobku polskich reportażystów. Tak, z grubsza biorąc, wyglądało to również na festiwalu („Sejna — coś co dzieli" Aleksandry Kedaj — o współżyciu Litwinów i Polaków w Sejnach, „Dziedzictwo stepu" Adama Kulika — zrealizowany w Bohonikach i Kruszynianach reportaż o Tatarach polskich).

Pewne zmiany na lepsze, w kierunku prezentowania rzeczywistych problemów tych społeczności, przemian w ich obrębie jakie zaszły po II wojnie światowej, pojawiły się po roku 1989. Na fali „mody" na mniejszości, Telewizja Polska uruchomiła cykliczny program ogólnopolski, w którym prezentowano materiały dotyczące poszczególnych społeczności narodowych. Dzięki temu wzrosło zain-



Festiwalowi towarzyszyła wstawa obrazów malarza i teologa prawosławnego — prof. Jerzego Nowosielskiego z Krakowa



Pierwsze chwile chwały Telewizji Białystok. Marek Liberadzki (wydawca magazynu „Sami o sobie") i Mirko Bogataj (przewodniczący European Ethnick Broadcasting Association) na chwilę przed wręczeniem nagrody za najlepszy cykliczny program o mniejszościach narodowych



Veni, vidi, vici! Małgorzata Prokopiuk, Mikołaj Wawrzeniuk, Sławomir Sawczuk, Jerzy Misiejuk, Marek Liberadzki. I dyplom za 2,5 tys. marek niemieckich

teresowanie reporterów tą tematyką. Ruch w interesie nie trwał długo. Zainteresowanie telewizji zmalało niemal do zera, dziennikarze nie mieli motywacji do zgłębiania tematu. Obecnie tematyka mniejszościowa na publicznych antenach ogólnopolskich pojawia się rzadziej niż sporadycznie, a wszelkie postulaty stowarzyszeń mniejszościowych, zmierzające do powołania programu, a nawet redakcji zajmującej się realizacją materiałów filmowych na te tematy, nie doczekały się poważnego potraktowania. Programy dotyczące mniejszości są realizowane, co zrozumiałe, i pokazywane w oddziałach terenowych Telewizji Polskiej.

Dziennikarstwo wielokulturowe

Tymczasem aspiracje organizacji mniejszościowych są znacznie większe. Szczególną aktywność przejawiają tu Ukraińcy. To przede wszystkim oni podnosili te kwestie na seminarium o dziennikarstwie wielokulturowym. Jego celem było przedstawienie młodym dziennikarzom z krajów Europy Środkowo-Wschodniej, zajmującym się tą tematyką, doświadczeń telewizji zachodnich. Spotkanie, które doszło do skutku dzięki wsparciu wielu sponsorów, w tym zagranicznych oraz Międzynarodowej Szkoły Dziennikarstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, było okazją do poznania europejskich standardów dotyczących miejsca mniejszości narodowych w telewizjach publicznych krajów zachodnich. Duże wrażenie zrobiła informacja dotycząca znaczenia, jakie telewizja BBC przywiązuje do uwzględniania w

Nagroda, jaką otrzymał magazyn „Sami o sobie" na I Międzynarodowym Festiwalu Filmów i Programów Telewizyjnych o Mniejszościach Narodowych „U siebie" jest pierwszą, jaką wywalczyła Telewizja Białystok. Paradoks polega na tym, że otrzymała go za program, który jeszcze przed powstaniem wzbudzał poważne emocje, doprowadził nawet do otwartego konfliktu między Związkiem Białoruskim a dyrekcją białostockiej telewizji. Wszystko dlatego, że — jak pisały miejscowe gazety — jej dyrektor nie życzył sobie na regionalnej publicznej antenie wykorzystywania języka innego niż polski.

Emocje ustały, ale problem bynajmniej nie został rozwiązany.

W dalszym ciągu nie wiadomo, czy Telewizja Białystok będzie realizować więcej programów w języku białoruskim, jeżeli tak, to jakie one będą, w jakim wymiarze czasowym. Po wielkiej burzy sprzed pół roku w tej sprawie, nikt teraz nie wspomina o tym ani słowa.

Nagrodę za program o mniejszościach można zinterpretować też w inny sposób. Jest to kolejny dowód na to, że ta tematyka, szczególnie zaś dotycząca kultury białoruskiej, jest doskonałym towarem eksportowym. Wielokrotnie skorzystali na tym inni, często odnosząc oszałamiające sukcesy, nawet międzynarodowe. Logiczne by się wydawało, że tą samą drogą powinna pójść miejscowa telewizja. Tak się jednak nie dzieje. Godne z pewnością lepszej sprawy, zapalczywe wzbranianie się od audycji w języku białoruskim jest tego przykładem.

Białorusini na Białostocczyźnie byli, są i będą. Nikt tego oczywistego faktu w najbliższym czasie nie zmieni, a z całą pewnością nie uczynią tego dyrektorzy Telewizji Białystok. Każdy na ich miejscu pomyślałby sobie, że lepiej przecież na Białorusinach zarobić, niż z nimi walczyć, zresztą bez szans na ostateczne zwycięstwo. Wszystko to proste i logiczne. Gdyby jeszcze nie te kresowe, polskie kompleksy...

red.

swoich programach specyfiki narodowej i kulturowej poszczególnych regionów Zjednoczonego Królestwa. I tak w Walii regionalny program BBC w większości jest realizowany w języku walijskim, mimo że zna go zaledwie ok. 500 tys. potencjalnych odbiorców. Walijski oddział BBC ma nawet własnego korespondenta... w Waszyngtonie.

Żadna z telewizji publicznych, w tym również polska, nie mogła pochwalić się takimi osiągnięciami. Mimo iż obecny na seminarium przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Bolesław Sulik powiedział, że problematyka mniejszości jest mu bliska (m.in. dlatego, że w jego domu rodzinnym w okolicach Dąbrowy Białostockiej mówiło się po białorusku), nie potrafił odpowiedzieć na pytanie sekretarza Związku Ukraińców w Polsce, Piotra Tymy, dlaczego Telewizja Białystok nie nadaje codziennego programu informacyjnego w języku białoruskim.

Ukraińcy i kultura ukraińska dominowała zresztą podczas całego festiwalu, szczególnie w spotkaniach nieoficjalnych. Od momentu rozpoczęcia w studiu Telewizji Kraków, imprezie towarzyszyła Orkiestra Świętego Mikołaja, wykonująca opracowany folklor ukraiński. Sami zresztą dziennikarze i działacze ukraińscy, podnieceni zapewne faktem, że są na swojej ziemi, nie dawali szans innym w popisach wokalnych przy okazji ognisk i bankietów.

Uczestnicy seminarium obejrzeli kilka programów o mniejszościach narodowych realizowanych w Niemczech, Wielkiej Brytanii, Rumunii i Polsce. Za najlepszy program uznano magazyn realizowany przez Telewizję Białystok, pt. „Sami o sobie".

Mimo trudnych do uniknięcia potknięć organizacyjnych, wynikających z faktu, że festiwal zorganizowano po raz pierwszy, (np. zbyt częste przejazdy w różne miejsca) oraz po części merytorycznych (wydaje się, że zakwalifikowanie filmu na przegląd konkursowy było bardziej uzależnione od miejsca jego realizacji niż wartości merytorycznych i technicznych), imprezę należy uznać za udaną. W przypadku jej kontynuowania, a są takie plany (w kuluarach mówiło się nawet o zorganizowaniu festiwalu za rok we Lwowie), z pewnością przyczyni się ona do popularyzacji wiedzy na temat mniejszości narodowych w krajach ich zamieszkiwania. W naszym przypadku — w Polsce.

Jerzy Kalina

Fot. Autor

Jerzy Sulżyk

Zawód: gastarbeiter

Spotkanie I: Wolność

— Wiesz kolego — powiedział do mnie — jak raz powąchasz prawdziwej forsy, trudno potem zrezygnować z tego zapachu. To nie jakieś tam śmieszne pięć czy dziesięć baniek stałej pensji, ale pięćdziesiąt, czasem osiemdziesiąt za miesiąc. To są pieniądze! Ty ile zarabiasz? — spojrzał pytająco na mnie.

— Raczej w pierwszym przedziale.

— Widzisz. D...pa zimna. Za całe życie się nie dorobisz. Ale jak byś chciał spróbować czegoś więcej, daj mi znać. Dobrze ci radzę — zaryzykuj.

Zaczął jeździć do Niemiec osiem lat temu. Przez kolegę, którego razem z nim wywalili z roboty. Za alkohol. Dyspozytor któregoś razu wkurzył się w końcu i wezwał milicję. Półtora promila we krwi. Zabrano mu prawo jazdy i pożegnał się z firmą. Był kierowcą. Innego zawodu nie miał.

W domu czekała żona z dwójką małych dzieci. Do rodzinnej wsi koło Bielska nie myślał nawet wracać (— Wstyd byłoby jak cholera!). Poszedł więc do pracy u prywaciarza, na budowę. Przez 10-12 godzin dziennie ciągał taczki z betonem. Po trzech miesiącach spotkał przez przypadek Staśka (tego, którego wcześniej razem z nim wywalili z roboty). Poszli na piwo do „Grodna". Okazało się, że stary kumpel montuje brygadę do pracy na budowie w Niemczech. Potrzeba pięć-sześć osób na trzy-cztery miesiące. Na czarno.

— Zgodziłem się bez wahania. To było proste: jest okazaja i trzeba z niej korzystać. A ja lubię ryzyko.

Pojechali jako turyści.

— Na początku żona się burzyła, ale jak przywiozłem po czterech miesiącach parę tysięcy marek, od razu złagodniała. Tu zaśmiał się i spojrzał na mnie znacząco: — Takie to już są kobiety.

Kupił samochód, kolor TV, wideo. Dzieciaki mogły ubrać się w modne zachodnie ciuchy.

— Pierwszym razem przywiozłem dzieciom w prezencie oryginalne adidasy, żonie żelazko Philipsa. Potem — jak już jeździłem własnym samochodem — ciągnąłem do domu różne suweniry: walkmany, gry komputerowe, komplet noży, narzędzia Boscha. I piwo, obowiązkowo w puszkach.

Za trzecim razem pojechał już legalnie. Kontrakt, ubezpieczenie, podatki. Od tej pory co roku wyjeżdża w październiku i wraca w połowie maja. Przez prawie osiem miesięcy jest poza domem. Wskakuje tu tylko na święta. Posiedzi z tydzień i szef z Niemiec dzwoni: — *Trześć Janek...* — śpiewny głos w słuchawce powtarza zawsze te same słowa. Następnego dnia jest już spakowany. Żona bierze wolne w pracy, dzieci nie idą do szkoły.

— Z dzieciakami muszę dłużej pobyć przed odjazdem, pogadać z nimi, pożartować. A i żonę trzeba też, rozumiesz, odpowiednio pożegnać. W końcu to parę miesięcy...

Co tydzień dzwoni z Niemiec. W nocy, o godzinie dziesiątej, jedenastej. Pięć minut rozmowy, czas na wymianę informacji i znów tydzień przerwy. Czasem przekręci do jakichś znajomych, do rodziców. Listów nie pisze, bo nie lubi. Przez tych osiem lat żona dwa razy przyjeżdżała do niego z dziećmi. Wziął wolne i pojeździli trochę po Niemczech. A że okolica, gdzie pracuje, piękna — Alpy — to i jest na co popatrzeć.

Na stałe związał się z jednym pracodawcą. Niemiec polubił narwanego Polaczka, który śpiewa czasem smutne piosenki w trochę dziwnym języku. — Ja mu mówię, że jestem *Biełarus*, a on że to nic nie szkodzi i że mnie lubi. I że da podwyżkę.

Od dwóch lat nie pracuje już na budowie. Szef ściągnął go do swojej posiadłości, gdzie zajmuje się końmi.

— Zapieprz jest, nie powiem. Od świtu do nocy. Ale się opłaci. Ostatnim razem w przeliczeniu na złotówki wyszło prawie pół miliarda na czysto.

Niedawno namawiał na wyjazd kogoś z rodziny. — Chyba z tydzień go piłowałem. Spoiłem, w końcu o mało nie pobiłem. A on nic, tylko że lubi swoją pracę i za mocno kocha żonę. Dureń, nie widzi, co dziś znaczy mieć forsę!

Zawiózł mnie do Bielska i pokazał dom, który prawie już wykończył. Oprowadził dokładnie i opowiedział o każdym kącie. Wszystko tu zaplanował, obliczył. Wyłoży w sumie prawie dwa miliardy. Ma być z klasą.

— A kiedy ty tu będziesz mieszkał? — zapytałem, gdy wyszliśmy już na zewnątrz. — Tylko cztery miesiące w roku jesteś w kraju.



— A kiedy ty tu będziesz mieszkał, tylko cztery miesiące w roku jesteś w kraju?
— A ty ile czasu będziesz budował taki dom jak ten?

Zaśmiał się i odpowiedział pytaniem: — A ty ile czasu będziesz budował taki dom jak ten?

Do Białegostoku jechaliśmy niecałe pół godziny. Nowy Passat bez wysiłku połykał kilometry. Rozmawialiśmy przez cały czas, a właściwie, to on głównie zasypywał mnie swoimi opowieściami. Klął przy tym niemiłosiernie, bez żadnych zahamowań, co, o dziwo, pasowało do niego idealnie. Zanim się rozstaliśmy, powiedział jeszcze do mnie na koniec: — Pamiętaj, ja tu przyjeżdżam i jestem pan. Bo mam kasę. I żaden ch... mi nie podskoczy! To jest właśnie wolność. Cześć.

Spotkanie II: Konieczność

— Nie. Nie jest to na pewno dla mnie sposób na życie — mówił z przekonaniem, lecz wydawało mi się, że brakuje mu pewności i słowa traciły przez to swoją jednoznaczność.

Jest bezrobotny. Kilka lat po studiach wciąż nie znalazł sobie stałej pracy. Bo tak na dobrą sprawę wcale jej nie szukał. Kiedyś, pod koniec studiów, kolega zaproponował mu wyjazd na zarobek do Niemiec. Dwa, trzy miesiące pracy w wielkoobszarowym niemieckim gospodarstwie — u bauera — i całkiem ładny grosz wpada do kieszeni. Spodobało mu się. — Jeszcze w czasie studiów myśleliśmy z kolegami o wyjeździe na Zachód, nawet do Stanów Zjednoczonych. Myślę, że każdy młody człowiek marzył kiedyś o dorobieniu się na Zachodzie.

Jeśli można tu mówić o dokonywaniu wyboru, to w jego przypadku wyglądało to na całkiem świadomą próbę rozwiązania w stosunkowo prosty sposób pojawiających się właśnie problemów finansowych. Świeżo założona rodzina: żona, małe dziecko. Już nie był sam — musiał myśleć o ich materialnym zabezpieczeniu. Wyjazd do Niemiec miał być (i chyba wciąż jest) doraźnym rozwiązaniem. Na teraz, bez konsekwencji. Tyle, że nie da się pojechać na parę miesięcy za granicę, rozłączyć się na na ten czas z rodziną i udawać, że zupełnie nic się nie dzieje.

— Dla mnie najgorszy jest okres zaraz po powrocie do kraju — opowiada. — Po intensywnej pracy następuje całkowite wytrącenie z rytmu. Ciągle odpoczywam, wręcz nudzę się. Trudno jest mi odnaleźć się w zmienionej nagle rzeczywistości.

W Niemczech pracuje przy zbieraniu warzyw. Razem z kilkudziesięcioma innymi osobami z Polski. Są też z nimi Wietnamczycy. Wśród Polaków spotkać można różne grupy zawodowe: wielu jest nauczycieli, zwykłych robotników z dużych fabryk, sporo bezrobotnych. Trafi się czasem jakiś drobny biznesmen. Z Białostocczyzny nie spotkał nikogo. Są ludzie z sąsiednich województw, najwięcej zaś pracowało z nim osób z Dolnego Śląska i z Lubelszczyzny.

Wielu Polaków wiedziało, że jest prawosławnym Białorusinem, ale w żaden sposób nie wpływało to na jego kontakty z nimi.

— Praca jest ciężka, a zdarzają się czasem sytuacje, które dla mnie były upokarzające — wspomina. — Brygadziści, którzy nas pilnowali, nie żałowali epitetów pod adresem pracujących. Lepiej było czasem nie rozumieć, co mówili. Bauer też był raczej mało sympatyczny. Właściwie nikt poza brygadzistami nie miał z nim do czynienia. Nawet, pamiętam, nie przywitał się z nowymi robotnikami, którzy dopiero co przyjechali, żeby rozpocząć pracę.

Próbujemy rozmawiać o pracy w Polsce. Co mógłby robić? Trudno mu odpowiedzieć. — Myślę, że mógłbym być nauczycielem — dodaje po chwili zastanowienia. Na pewno wolałby pracować w kraju, tak by nie musiał rozstawać się z rodziną, wytrącać z normalnego rytmu życia. Zaczepiamy o logikę, zastanawiamy się, co jest lepsze: praca nauczyciela, który przez cały rok jest w stanie zarobić na rękę 70 milionów starych złotych, czy trzy miesiące harówy u bauera, za którą można wziąć i dwa razy więcej. Nasza logika przestaje jednak działać. Dochodzimy do wniosku, że życie dużo bardziej, niż nam się wydaje, jest nielogiczne. Dlatego jest takie ciekawe.

— Wiem, że jest sporo osób, które z sezonowej pracy na Zachodzie uczyniło sobie stałe, obliczone na wiele kolejnych lat, źródło dochodu. Potrafią zapewnić rodzinie wysoki standard życia. Dają swoim dzieciom wszystko, oprócz siebie. Ja taki nie chcę być. Ale być może każdy, kto wyjeżdża, wraca do domu jakby zarażony.

— Chciałbyś znów pojechać? — pytam.

— Raczej nie — odpowiedział.

— A pojedziesz?

— Bardzo możliwe, że tak.

***

Dużo pracują. Dużo zarabiają. Jedni żyją tak, bo chcą, inni bo muszą, wielu inaczej już nie potrafi. Kapitalizmu uczą się w przyspieszonym tempie i niedokładnie.

Żyją w dwóch światach. W jednym pracują od rana do wieczora, do drugiego wracają. Ale tak naprawdę tylko w jednym można żyć normalnie. I oni o tym wiedzą. Wyjeżdżając są jak zawieszeni, oczekują dnia powrotu, kontaktu z najbliższymi. To ich dopiero sprowadza na ziemię, daje poczucie bezpieczeństwa. Lecz mimo wszystko nawet gdy wracają, poruszają się jakby lekko uniesieni nad ziemią. Jak poduszkowce, bezszelestnie. Tyle że trochę brakuje im równowagi.

Jerzy Sulżyk
Fot. Archiwum

Michał Mincewicz

Kamieniarze i brukarze

Zmienia się wygląd naszych dróg i ulic. Brukowane niegdyś kamieniem polnym albo obrabianym, dziś zalewane są smołówką i asfaltem. Coraz częściej do wykonywania nawierzchni używa się betonowej kostki brukowej. Zawody kamieniarza, rozkłuwającego kamienie i brukarza, układającego bruk, odchodzą w niepamięć.

— Przepracowałem trzydzieści osiem lat przy kamieniach, układaniu kostki i bruku. Kto by pomyślał, że przyjdą w końcu czasy zalewania ich smołówką — wspomina Michał Barszczewski, 67-letni mieszkaniec Paszkowszczyzny w gminie Orla. — Brukarska robota jest taka, że nie ma na nią żadnego przepisu. Musisz sam od siebie się jej nauczyć. Każdy kamień trzeba kłaść po swojemu, w swoje miejsce. Kryjesz, kryjesz i tak jedziesz kolanami...

Nauka zawodu

Gdy poszedłem do szkoły, do pierwszej klasy, zaraz wybuchła wojna. Najpierw przyszli Ruscy, potem Niemcy, zmieniało się w szkole, ale w końcu udało mi się jakoś ją ukończyć. Pracować zacząłem zaraz po wojnie, mając szesnaście lat. Na początku przez dwa lata zajmowałem się rozbijaniem nadpsutych, „gniłych" kamieni (mówiono na nie *szabor*), z których otrzymywano posypkę na bruk. *Szabor* biło się młotkiem, siedząc na ziemi z wyprostowanymi nogami. Obecnie zamiast *szabru* stosuje się *grys*, ale wówczas go nie było. I tak minęły te pierwsze dwa lata przy budowie drogi z Malinnik do Kleszczel. Pamiętam, że razem ze mną pracowali też ludzie ze Służby Polsce; na dwa, trzy dni w tygodniu stawiali się miejscowi, zamiejscowych delegowano na dwa, trzy miesiące. Przez następne lato pracowałem przy układaniu torów do wąskotorówki na drodze do żwirowni w Zaleszanach, po których pchaliśmy później wagoniki ze żwirem.

Kolejny rok spędziłem przy podawaniu kamieni dla brukarza, w następnym mogłem już trambować (ubijać) świeżo położony bruk. Po wojsku, od 1954 roku, zacząłem pracować jako brukarz. Od tamtej pory sam już miałem pomocników. I tak przez kolejnych dwanaście lat brukowałem ulice w Bielsku, aż do Studziwód, Augustowa... Układałem bruk na drogach w Nurcu koło Bociek, w Boćkach, Starzynie, Andryjankach, Perlejewie, Adamowie, Hajnówce, Białowieży, Wasilkowie. Do pracy trzeba było nieraz dojeżdżać rowerem po kilkanaście czy kilkadziesiąt kilometrów.

Układanie bruku...

Dawniej, za sanacji — opowiada pan Barszczewski — przy układaniu bruku kamień trzeba było *sztorcować* (ustawiać w pionie — red.), bo wówczas jeżdżono „żeleźniakami" (wozy na kołach z żelazną obręczą — red.), które szybko wybijały koleiny. Za „demokracji", nie wymagano takiej dokładności, bo ludzie jeździli „gumiakami" (wozy na kołach ogumionych). Zdarzało się, że na swojej drodze ludzie ze wsi pracowali *szarwarkiem* (prace obowiązkowe ludności wiejskiej nakładane przez administrację — przyp. red.) i pomagali brukarzom. Kopali większe rowy na ławę (obrzeża), mniejsze na bruk, sortowali i podnosili bliżej kamienie. Brukarz siedział na kolanach, w lewej ręce trzymał kamień, w prawej młotek z krótkim trzonkiem i brukował. Kolana chroniły nakolanniki, ale i tak moje nogi były wiecznie poobijane. Płacili wówczas złoty dwadzieścia za metr kwadratowy bruku. Wychodziło w sumie gdzieś 350-400 złotych miesięcznie. Robota była ciężka jak na takie pieniądze. Jak układałem bruk w Bielsku, to po otrzymaniu zgody w magistracie, pracowałem jeszcze po fajrancie. Żeby dorobić do pensji.

Brukowało się całą szerokością drogi, albo — gdy nie było objazdu — połową. Kamienie przed układaniem musiały być sortowane. Na brzegach drogi układało się duże kamienie, jakie tylko brukarz mógł udźwignąć, nawet i po pięćdziesiąt kilo. Środek (oś) drogi był zawsze wyżej położony i wykonywano go z najmniejszych kamieni. Po nich, z boku, szły większe. Kamienie zawsze układało się na podłożu z piasku, nigdy na glinie. Jak była glina, wyrzucano ją, żeby nie miała w ogóle styczności z kamieniem, gdyż w przeciwnym razie zimą uszkadzała bruk („znosiła kamienie").

...i rozkłuwanie kamieni

Z dużych polnych kamieni kamieniarze i niektórzy brukarze robili kostkę. Taki „fachowiec-kamieńszczyk" oceniał okiem słoje w kamieniu i w odpowiednich miejscach wykuwał kilka otworów o średnicy jednego i głębokości kilku centymetrów. W tak wykute otworki wbijało się stalowe kliny, które były obło-



„Swoje podwórko mam wybrukowane" — pan Michał Barszczewski z narzędziami brukarskimi (m.in. *trembownik* wykonany z kawałka pocisku)



W Bielsku Podlaskim — połowa lat 50. Brukuje M. Barszczewski, podaje kamienie Konstanty Grabowski ze Studziwód

żone z dwóch stron stalowymi blaszkami. Po kilku równomiernych uderzeniach w poszczególne kliny kamień wydawał tylko z siebie „szczęk" i pękał. Dawniej obrabiało się bardzo duże kamienie, zwłaszcza na fundamenty domów. Bywało, że z jednego kamienia można było nakłuć materiału na cały fundament. Starsi wiekiem fachowcy opowiadali, że zaraz po pierwszej wojnie światowej co odważniejsi rozkłuwali duże kamienie przy użyciu prochu, którego było pod dostatkiem. W owych czasach bardzo dobrym „fachowcem-kamieńszczykiem", znanym w całej okolicy, był Jan Szerszeń z sąsiedniej wsi Szernie, który obrabiał kamienie również w okolicach Siemiatycz.

— Ja również zajmowałem się kiedyś rozkłuwaniem polnych kamieni. Były one bardzo cenione, poszukiwane i wykorzystywane. Dziś nie są już nikomu potrzebne i leżą bezpańsko. Nie widać już żeby rolnik chodził po polu, zbierał kamienie i układał je na stosy. Większe kamienie, ściągnięte z pola, leżą gdzieś przy drodze, często przy polnych krzyżach. Powstają cmentarzyska kamieni, tak jak na polu koło Topczykał, gdzie są ich tysiące.

„Wojskowy" bruk

W 1969 roku wezwano mnie na trzy miesiące do rezerwy. Znalazłem się we Wrocławiu, w Wyższej Szkole Wojsk Inżynieryjnych, gdzie pilnie potrzebowano dobrego brukarza. Tam otrzymałem zadanie wykonania pokazowego odcinka o szerokości czterech i długości osiemdziesięciu metrów. Droga składała się z kilku części. Były one wykonane z różnych materiałów: betonowej trelinki, kamieni brukowych, kostki z bitego kamienia. Do pomocy miałem przydzielonych żołnierzy, a całą pracę wykonałem w czasie kilkakrotnie krótszym niż ustalił dowódca. Ten, zaskoczony i zadowolony, dał mi w nagrodę siedem dni urlopu. Jeszcze przed wyjazdem inny dowódca tej jednostki poprosił mnie, abym ułożył mu poza planem 100-metrowy odcinek wjazdu do garażu. Mówił: „Dam wam żołnierzy ilu chcecie i maszyny, tylko zróbcie to". Wzięliśmy się więc do roboty i do wieczora, w jeden dzień, wjazd był gotowy. Za głowę się tam brali, co za fachowiec tak pracuje! Potem otrzymałem wyprowiantowanie, odwieźli mnie samochodem na stację i akurat na „Ilju" byłem w domu. I zwolnili mnie z rezerwy.

Emeryt na bruku

Jeszcze w latach 70. układałem z kostki parking koło stacji w Białowieży. Potem już bruku nie układano, a na początku lat 80. pracowałem przy maszynach drogowych, które zalewały mój solidnie ułożony bruk smołówką. W marcu 1982 roku odszedłem na rentę chorobową, a potem na emeryturę.

Trzynaście lat byłem już na emeryturze, gdy niedawno, wiosną 1995 roku, przyjechała do mnie, do Paszkowszczyzny, dyrekcja fabryki dywanów z Wasilkowa z prośbą, żebym ułożył im bruk, który zerwano przy rozkopach. Zabroniono kłaść tam asfalt i dlatego wszędzie szukano brukarza. Ja nie chciałem, bo to już i wiek nie ten i daleko... Ale jeździli do mnie przez cały miesiąc i „hołowu duryli". W końcu zgodziłem się. Narzędzia brukarskie jeszcze miałem, zabrałem ze sobą pięciu ludzi znających się na robocie (z Mokrego, Bielska i Plosek) i za kilka dni zrobiliśmy co trzeba. Codziennie dowozili nas samochodem z fabryki do domu. W sumie było tam w Wasilkowie około 300 metrów drogi o szerokości sześciu metrów. Każdy brukarz układał dziennie po trzydzieści metrów kwadratowych bruku, ale *trembowaliśmy* go nie ręcznie, a przy pomocy maszyny spalinowej.

Michał Mincewicz
Fot. Autor



Betonowe kostki brukowe wykonywane współcześnie w Orli

Irena Matus

Dawny świat dziecka

Życie najmłodszych mieszkańców wsi nadnarwiańskich nie było ani łatwe, ani wesołe. Ich dzieciństwo upływało w ubóstwie i pracy już od najmłodszych lat.



Wielopokoleniowa rodzina Pietruczuków z Klukowicz

Chłopki przechodziły ciążę prawie niepostrzeżenie, pracując aż do samego rozwiązania. Zdarzało się, że rodziły w polu. Stąd wzięło się powiedzenie: „przyniosła dziecko w fartuchu". Niemowlę starano się ochrzcić jak najszybciej. Pośpiech powodowała ogromna śmiertelność wśród noworodków. Rodzice bali się, aby dziecko nie zeszło z tego świata, nie dostąpiwszy najważniejszego w życiu każdego chrześcijanina sakramentu.

Nie przywiązywano natomiast uwagi do imienia. Nadawano je zgodnie z rodzinną tradycją, na cześć przodków. Często imiona wybierał sam duchowny, według cerkiewnego kalendarza. Stąd brała się przebogata ich różnorodność.

Chrzciny były skromną uroczystością. Zapraszano tylko najbliższych i kumów (rodziców chrzestnych). Obowiązkowym gościem była *babka* (wiejska położna). Na chrzciny przychodziła z mężem, zwanym *didkom*, któremu profesja żony bardzo odpowiadała. Rodzice za pomoc przy porodzie rewanżowali się *babce* podarkiem. Najczęściej dawali jej chustkę.

Babka asystowała przy porodzie, pocieszała cierpiącą kobietę, udzielała jej wskazówek, przyjmowała dziecko. — Zębami przegryzała pępowinę — przypomina Włodzimierz Naumiuk. Kiedy dochodziło do powikłań, była jednak bezradna. Wiele młodych kobiet ciążę przypłacało własnym życiem. Fachowej opieki lekarskiej w tamtych czasach nie było.

Kołyski pleciono z powszechnie dostępnej wikliny. Wykonywał je wiejski majster. Kiedy rodziców nie stać było na taki zakup, swoich sił próbował ojciec bądź dziadek. Często za kołyskę służyła zwyczajna *kopańka* (drewniane podłużne naczynie). Jej naturalny kształt sprawiał, że się kołysała. Do tego celu wykorzystywano także plecione *korobki*, w których dziecko zabierano w pole czy na łąkę. Mówią o tym słowa popularnej kołysanki:

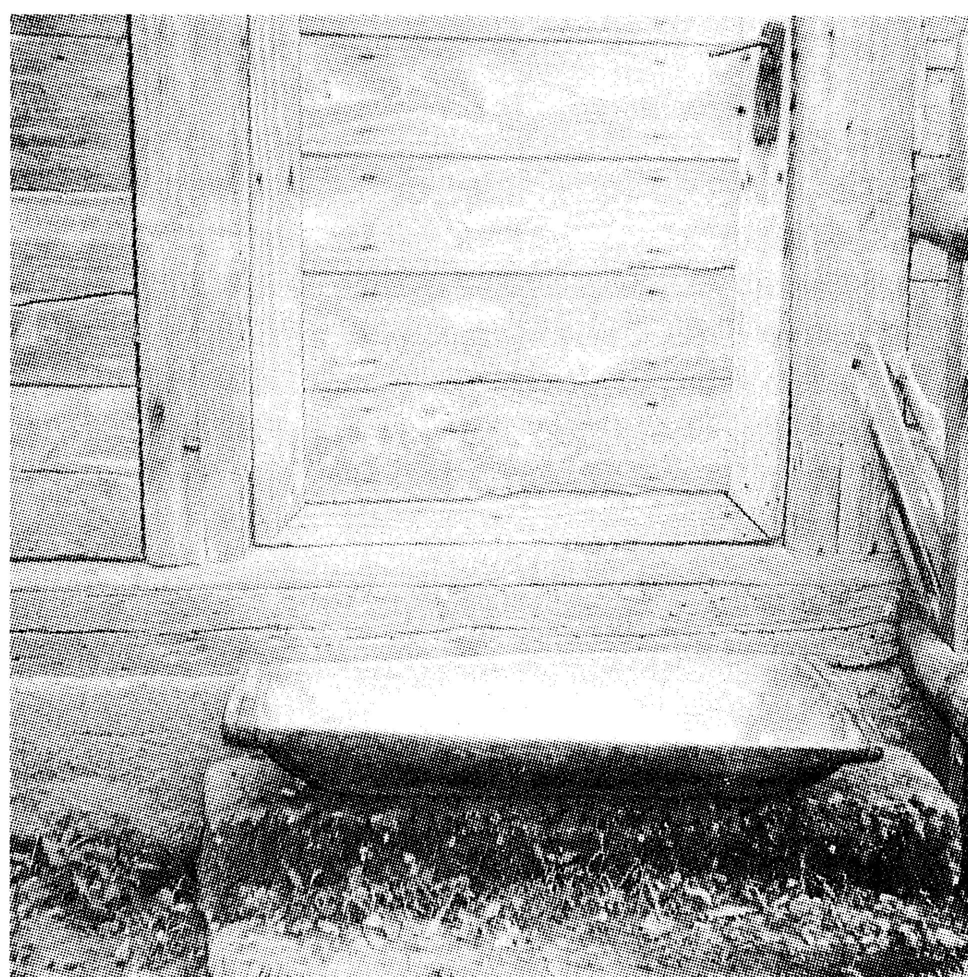
Kołychała mene mati
to w kołyści to w korobci.
A ja spati ne chotiła
po korobci drapotiła.
Jak ja stała podrostati
stali chłopci kołychati.

Kołyski najczęściej mocowano w izbie na środkowej belce. Wisiały na mocnym, kowalskiej roboty, haku. Musiał on być solidnie wykonany i umocowany, bo od tego zależało bezpieczeństwo dziecka. Stąd mówiono, że hak był wieczny — wspomina Włodzimierz Naumiuk. Rzeczywiście, tkwił w belce tak długo, jak stała chałupa.

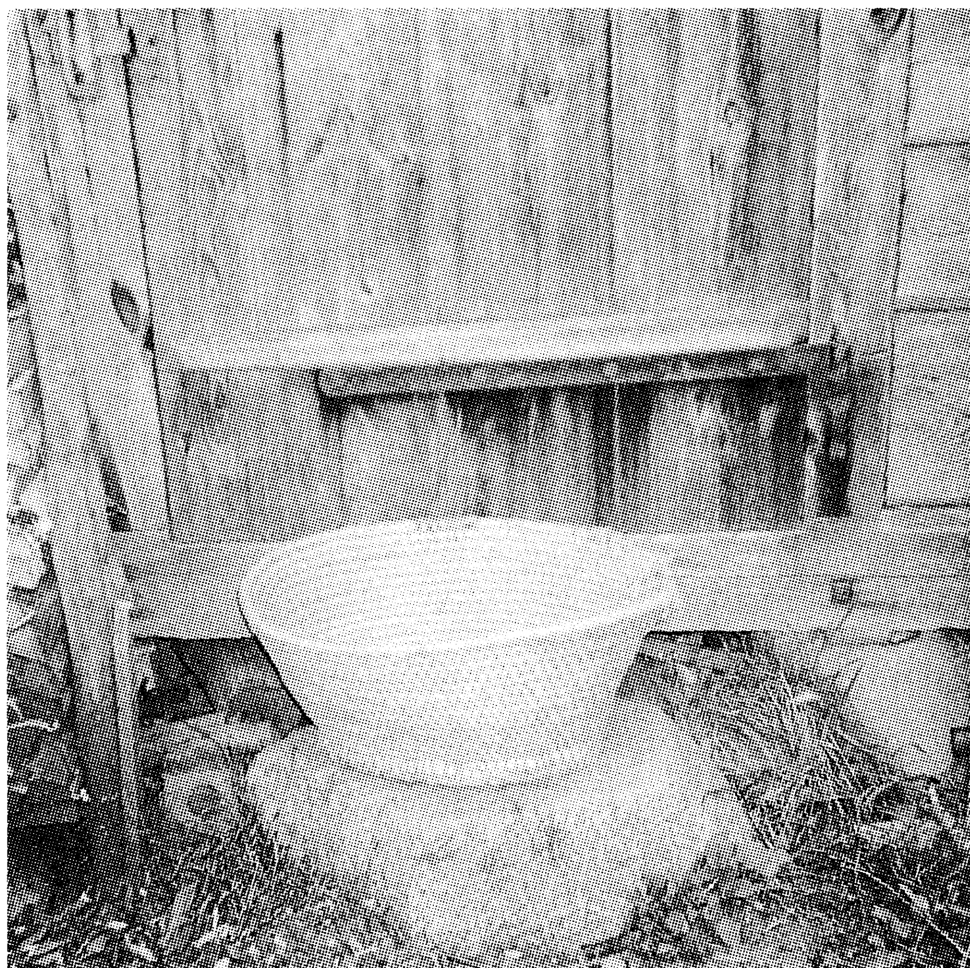
Na czterech mocnych, konopnych, niekiedy lnianych, sznurach kołyska wisiała w pobliżu posłania rodziców.



Pleciona kołyska



Kołyskę zastępowała zwyczajna *kopańka*



W *korobkach* zabierano dzieci w pole lub na łąkę

Matka, umęczona codzienną pracą, mogła, nie wstając z pościeli, wyciągnąć rękę i ukołysać płaczące dziecko. Latem podczas upałów kołyskę zdejmowano z haka i wynoszono do sieni. Tam było chłodniej i ciemniej, a półmrok chronił dziecko od natrętnych much. W izbie w tym celu osłaniano kołyskę starą, mocno sfatygowaną, parcianą płachtą.

Niemowlę spało na lnianym sienniczku, wypełnionym owsianą słomą lub sianem. W rodzinach najuboższych dziecko leżało zwyczajnie na rozrzuconej słomie.

Pieluszki szyto ze starej, nie nadającej się do użytku, bielizny lub pościeli. Robiono tak z dwóch powodów. Po pierwsze z oszczędności, a po drugie dlatego, że sfatygowane płótno nie było już szorstkie. Niemowlę krępowano długim powijakiem, który całkowicie je unieruchamiał.

Przy braku właściwej higieny delikatna skóra dziecka, szczególnie latem, ulegała odparzeniom. Stosowano wtedy pyłek kwiatowy widłaka, stary pokost lub białko kurzego jajka. Zasypkę higieniczną zastępowano zwyczajnym drzewnym próchnem.

Matki karmiły piersią bardzo długo. Powszechne były scenki — wspomina Włodzimierz Naumiuk — kiedy kilkuletnie już dziecko ciągnęło matkę na bok. Mocno zawstydzone prosiło: *Chodi, ja tobi sztoś skażu*. I ciągnęło za fartuch. Wszyscy znali te tajemnice i tylko się uśmiechali.

Częste porody i długi okres karmienia piersią niekorzystnie wpływały na figurę kobiet. Nie nosiły biustonoszy czy gorsetów, przez co ich piersi przedwcześnie traciły jędrność. Szybko przemijała uroda nawet najpiękniejszych chłopek.

Kiedy niemowlę wymagało dokarmiania, praktykowano bardzo prosty, naturalny sposób. W mleku maczano ptasie pióro i powoli kapano do buzi. Żadnych smoczków wtedy nie znano.

Płaczące dziecię uspokajano na różne sposoby. Najczęściej za pomocą tzw. *syski*. Matka lub babka starannie przeżuwały czarny razowy chleb. Taką miazgę dosładzały sacharyną (cukier był zbyt drogi) i starannie zawijały w lnianą szmatkę. Taką *syskę* wciskano do buzi niemowlęcia. Praktykowano też pojenie dzieci naparem z makówek, nie zdając sobie sprawy z działania takiego napoju. Najważniejsze, że dziecko później dobrze spało.

Kiedy niemowlę trochę podrosło, jadło to samo, co pozostali domownicy. Wszyscy posilali się z jednej drewnianej miski. Strawę gotowano jeden raz dziennie, rano. Musiała wystarczyć na cały dzień. Zupę przyrządzano na wywarze ze świeżej lub solonej ryby — daru Narwi. Z rzadka dodawano garść kaszy lub mąki, jeśli była. Zupa miała wtedy konsystencję kleiku, co najdobitniej odzwierciedla powiedzenie: *krupa krupu honit*. Kaszę na sypko gotowano tylko w okresie intensywnych prac polowych. Tak naprawdę chłopi wtedy nie jadali do syta — ze smutkiem wspomina pan Włodzimierz. Jak mówiono, apetyt był zawsze na dnie miski. Po obiedzie dziecko często jeszcze zaglądało po garnkach. Ale zamiast dokładki, dostawło rozkaz wyjścia na dwór. Gospodyni bardziej dbała o męża, który ciężko pracował w polu.

W kilkupokoleniowej rodzinie wychowanie dziecka powierzano babce. To ona uczyła słów pierwszej modlitwy i opowiadała bajki, które odgrywały szczególną rolę wychowawczą. Najczęściej zmyślano je na poczekaniu, zawsze jednak uczyły odróżniać dobro od zła.

W każdej wsi była uwielbiana przez dzieciaki gawędziarka, taka wspólna babcia. Niekiedy staruszki, opiekujące się dziećmi, zbierały się w jednym miejscu, najczęściej na ławce, i ucinały sobie pogawędkę. W tym czasie dzieci, ciekawe otaczającego świata, niepostrzeżenie się oddalały. Szły wprost przed siebie, boso, w siermiężnych, do samej ziemi, koszulinach. Nieznana dal przyciągała oczy dziecka. Kusiły nadnarwiańskie łąki, na których zdmuchiwało się dumnie nadęte i intrygujące swą lekkością mlecze. A złote kaczeńce można tu było rwać pełnymi garściami. Dzieci, zwabione śpiewem ptaków, ganiały kolorowe motyle, złote ważki i brnęły po zielonych przestworzach traw, nieświadome czyhającego niebezpieczeństwa. Szczególnym zagrożeniem były przybrzeżne zatoki.

Babcie, zajęte rozmową, ani się spostrzegły, jak wnuczęta były hen daleko. Kiedy zorientowały się, przeżywały chwile prawdziwej grozy, czyniły gorączkowe poszukiwania.

Dzieci za najdrobniejsze nawet przewinienie karano cieleśnie. Wymierzano im porcje „brzozowej kaszy". Do tego celu — wspomina z uśmiechem pan Naumiuk — służyło specjalne narzędzie, tzw. *plotka*. Była to wiklinowa rózga, wyplatana najczęściej przez pastuchów. W izbie wisiała w widocznym miejscu,



Dzieci z Plosek

aby była w zasięgu ręki. Bił najczęściej ojciec, czasem dziadek — bolało zawsze tak samo. Wychowanie było surowe, a dorośli konsekwentni. Karanemu dziecku nikt nie okazywał litości ani współczucia. Obecne w izbie osoby nawet zachęcały do bicia. — Dołóżcie i ode mnie — radziły.

Matka lub babka karały natrętne dzieci, odganiając je fartuchem, będącym nieodłącznym elementem codziennego stroju wiejskiej kobiety. To było mniej bolesne od *plotki*, ale tak samo przykre.

Z wychowaniem dziecka wiązało się wiele przesądów i zabobonów. Święcie wierzono w czary i rzucane uroki, które lud nadnarwiański zwał *ujedami*.

Na złe oczy najlepsza i niezawodna była czerwona szmatka, którą zawsze przywiązywało się do ubranka dziecka. Innym sposobem było zakładanie koszulki i bielizny lewą stroną. Urokami tłumaczono większość chorób i nieszczęść. Ofiarami czarów padały nie tylko dzieci, ale i dorośli oraz zwierzęta domowe. Dlatego przy uździe konia, który dla ubogiego chłopa stanowił przeogromną wartość, też uwiązywano czerwoną szmatkę.

Wierzono, że czarami można zdziałać dosłownie wszystko — sprawić, że ktoś natychmiast pokocha, znienawidzi, a nawet umrze. Powszechnie praktykowaną metodą walki z urokami było przeciąganie dziecka pod stołem, przez spódnicę lub chomąto.

Innym problemem były „przestrachy". Kiedy dziecko bez przyczyny wciąż płakało i marudziło, był to oczywisty znak, że czegoś się przestraszyło. W takiej sytuacji korzystano z usług i porad zamawiających babek, które były w każdej wsi, nawet po kilka. Tym kobietom przypisywano moc uzdrawiania oraz odczyniania czarów i uroków — wiedzę szarlatańską. Zrozpaczonym matkom wydawały różne przedziwne polecenia — najczęściej okadzanie ofiary przestrachów dymem zapalonych święconych ziół, z dodatkiem wosku ze świec odpustowych, kosmyka włosów (w przypadku zwierzęcia kłaku sierści).

Od tamtych czasów w nadnarwiańskich wsiach urodziło się i zdążyło zestarzeć już kilka pokoleń. Dziś dziecięcy gwar można tam usłyszeć jedynie latem, kiedy wnuki z miasta przyjeżdżają do dziadków na wakacje. Ich świat jest jednak już zupełnie inny. Tylko nadnarwiański krajobraz wciąż tak samo kusi swym pięknem i rześkością.

Irena Matus

Fot. ze zbiorów Autorki

Joanna Pawluczuk

Skarb z czasów powstania

Część I. Spełniony sen

Był marzec 1863 roku. W *Nadwiślańskim Kraju* zbrojny zryw polskiej szlachty przeciwko rosyjskim zaborcom, nazwany później powstaniem styczniowym, już dogorywał. By oczyścić Mazowsze i Kurpie z buntowników, Moskwie wystarczyły ledwie dwa miesiące. Ci, których nie dosięgła kozacka szabla, zbiegli do *Siewiero-Zapadnogo Kraju* — na Grodzieńszczyznę i Wileńszczyznę, gdzie było znacznie więcej puszcz i bagien. Niedobitki szlachty spod Warszawy i Ostrołęki dołączyły do powstańców z Podlasia i Polesia. Generał-gubernator Murawiow ściągał tu jednak coraz to nowe sotnie kozaków, którzy bezlitośnie rżnęli w pień zbuntowanych *Polaczków*. Wykrwawieni powstańcy, rekrutujący się przeważnie z drobnej, ubogiej szlachty (właścicieli niewielkich folwarków z kilkoma, góra kilkunastoma poddanymi chłopami) kryli się po lasach i mokradłach. Wieśniacy, którzy nie odczuli jeszcze wolności, danej im dwa lata temu w carskim manifeście, zastraszeni siedzieli w swych kurnych chatach, nosa nie wytykając na ulicę, którą co i rusz szarżowały grupy kozaków na koniach.

— *Miacieżników* nie widzieliście? — kozacy pytali każdego napotkanego.

— My, panoczku, spokojni i prości ludzie...

— No, no, uważajcie! Wiedzcie, że polskie pany podnieśli rękę na cara, bo chcą żebyście nadal byli ich niewolnikami. Dlatego dla swojego dobra pomóżcie nam zrobić z nimi porządek.

Wieść ta migiem obiegła wszystkie wioski. Duchowni powtarzali ją w cerkwiach w każdą niedzielę i święta. Podjudzeni chłopi długo nie czekali. Wspomagali kozaków jak tylko mogli. Wskazywali im miejsce pobytu *miacieżników*, a i sami nieraz łowili ich i powiązanych powrozami dostarczali na carskie posterunki.

Powstańcom zaczynało już brakować broni, amunicji i żywności. Magnateria i właściciele bogatych dworów, którzy byli zapleczem materialnym powstania, zostali przez cara obłożeni ogromnym podatkiem. Za ukrywanie powstańców groziła konfiskata majątku. Celem powstańczych ataków stały się już nie carskie urzędy, ale rosyjscy kupcy i banki. Złote ruble rabowano gdzie się tylko dało. Szlachta, która nie brała bezpośredniego udziału w walkach, organizowała zbiórki pieniędzy i kosztowności dla powstańców. Srebrne i złote monety oraz biżuterię wymieniano na Zachodzie na broń i amunicję.

*

Oddział dowodzony przez Wojciecha Czarnieckiego liczył blisko stu powstańców. Składał się z niezamożnej szlachty sokólskiej i białostockiej — właścicieli niewielkich folwarków, niektórzy z nich sami musieli obrabiać ziemię. Franek i Staś byli najmłodsi w oddziale. Stuknęło im ledwie po szesnaście wiosen. Z początku walczyli razem z ojcami, ale pod Grodnem musieli się rozdzielić. Połowa oddziału dołączyła do innej grupy powstańców, by wspomóc ich w odparciu Moskali. Później wszyscy mieli się połączyć pod Białymstokiem, gdzie za miesiąc zaplanowano zgrupowanie przed wielką bitwą. Do tego czasu należało zorganizować broń i amunicję. Taką właśnie misję powierzono części oddziału, w której znaleźli się Franek ze Stasiem. Ich grupa otrzymała zadanie przetransportowania na Prusy zrabowanego w grodzieńskim banku złota i pieniędzy ze zbiórek szlachty. Z powrotem mieli przywieźć karabiny.

Właśnie dotarli do Gródka. Po dwóch miesiącach tułaczki po leśnych ostępach — najpierw przez zaspy, a teraz przez błoto — powstańcom zaczynało już brakować sił. Byli wycieńczeni do tego stopnia, że posuwali się tylko kilka wiorst dziennie. Drogę opóźniał załadowany po brzegi drabiniasty wóz ze złotem. Drewniane koła co i rusz grzęzły w rozmarzniętej ziemi. By wspomóc transport, w Gródku pod lufami karabinów zabrali kilku chłopów z końmi. Jeden z nich, widząc co się święci, w tajemnicy znaczył drogę, rzucając na nią kawałeczki słomy. Nad ranem dotarli pod Pieraciosy, gdzie na leśnej polanie rozbili obóz.

W południe wartownicy wszczęli alarm — na dukcie pojawili się kozacy na koniach. Nieoczekiwanie jednak, gdy podjechali pod obozowisko, zawrócili. Po-

wstańcy nie mieli wątpliwości, że niebawem wrócą z posiłkami.

— Teraz chłopaki przed wami bojowe zadanie — dowódca wezwał do siebie Franka i Stasia. — Sami dalej powieziecie złoto. Dam wam do pomocy Wróblewskiego, on stąd, więc dobrze zna okolicę. Szykujcie się do drogi. Zanim jednak wyruszycie, musicie przysiąc, że złoto dowieziecie na miejsce i będziecie go bronić nawet za cenę swego życia. — Księże — zwrócił się do modlącego się w pobliżu duchownego — zawołaj Wróblewskiego i przyjmij przysięgę.

Chłopcy nakarmili konie i sami się posilili. Wróblewski w tym czasie zabezpieczył wóz, skrzynie ze złotem i biżuterią poobwiązywał linami i przykrył słomą, w której ukrył też swoją i chłopaków broń. Na wierzch położył kożuch, który pozostał po zastrzelonym kompanie. Wyruszyli w drogę jeszcze zanim zrobiło się ciemno. Żegnał ich śpiew księdza, który odprawiał mszę przed jutrzejszą bitwą (później miejscowi to uroczysko nazwali Imszar).



*

Sukowicze we włości szudziałowskiej, sokólskiego ujezdu, były niewielką jak na tamte czasy, bo liczącą wszystkiego kopę dymów, wsią pańszczyźnianą. Zaczynał się właśnie przednówek, najgorsza pora w roku — czas głodowania. W domu Prokopa, tak jak w każdej ówczesnej rodzinie białoruskiej, z utęsknieniem oczekiwano wiosny, kiedy do syta można będzie się najeść szczawiu, gotowanej pokrzywy i wywaru z kory dębowej. Każdej nocy dzieciom śniły się jagody i grzyby, a najczęściej chleb. Najstarszy syn Prokopa, Wasil, marzył o czymś dużo cenniejszym.

— Ach, gdybyśmy tak znaleźli trochę złota... — westchnął któregoś wieczoru. — Nie musielibyśmy przymierać głodem. Żeby tak wykopać gdzieś tylko parę monet, choćby dwie, albo trzy... Ach, jak zahulałbym w karczmie. Kazałbym Jankielowi na mój koszt nalać każdemu po kwarcie gorzały i pić za moje, znaczy Wasila, zdrowie...

— Aleś ty głupi, synu — rzekł na to stary — wódka i dziewki tylko ci w głowie. Ziemi nam trzeba i wołów, aby ją obrobić.

— Ziemię to może dostaniemy z majątku — włączyła się do rozmowy matka. — Ale co tu mówić o bogactwach, kiedy nie wiem jak doczekamy Zwiastowania. Już teraz nie ma czego do garnka włożyć.

— Co ty tam Mańka wiesz — replikował stary. — O ziemię przecie szlachta bije się z kozakami, a nam nic do tego.

— Jak to nic?! To ty za *miacieżnikami*?

— Czort ich wie, za co oni tak naprawdę krew przelewają. Mówią, że wolnej Polski chcą. A nam trzeba siedzieć cicho i już. Gdybyśmy natomiast mieli złoto, to oho! Bez łaski cara i polskich panów kupilibyśmy ziemię...

— Dwór, tato, dwór! — Z zapiecka wykrzyknął młodszy syn, Mikołaj. — W Malawiczach stoi pusty, bo pan do powstania poszedł i car wszystkie budynki zabrał.

— I złotą karetę byśmy kupili, aby było czym do cerkwi jeździć — dodał Wasil.

— Karety nie trzeba. I pieszo byśmy zaszli, przecież Samohrud pod bokiem byłby. Ale rumaki to by się przydały. Taki szmat pola pieszo obejść byłoby nam trudno.

— A ja mówię, że kareta też potrzebna — upierał się starszy brat.

— Wystarczą rumaki!

— Ma być kareta!

— Tylko rumaki!

— Powiedziałem, kareta!

— Rumaki!!!

Chłopcy skoczyli sobie do oczu, upadli na klepisko i zaczęli się tłuc.

— Przestańcie! — rozdzielił ich ojciec. — Na dwór i karetę trzeba skrzynię złota, a nam wystarczyłby tylko woreczek, albo i pół...

— Cicho bądźcie — naraz przerwała matka. — Słyszę jakieś kroki, ktoś się do nas skrada.

— Kto to może być o tej porze? — zaniepokoił się ojciec. — I dlaczego nie idzie od ulicy, a od zastodola?

— A może to złodziej, tato? — przestraszył się Mikołaj. — Kij jakiś by się przydał.

— Co tam kij — na to Wasil — topór tato weź i już!

— A co tu u nas kraść? — ojciec wzruszył ramionami i podszedł do drzwi.

— Czego tam?

— Nie bójcie się, przenocować chcemy.

— Wiela was?

— Ja z dwoma synami.

— A coście za jedni, że nocą błądzicie?

— Do domu wracamy, kolej budowaliśmy.

Chociaż nieznajomy wydał się Prokopowi trochę podejrzany, to sumienie nakazywało mu, człowiekowi wierzącemu, potrzebującym udzielić pomocy. W dodatku musiał to być ktoś swój, bo rozmawiał po prostu.

— No to zachodźcie, przenocujemy was.

— A konie będzie gdzie zagonić? Taka plucha, że mogą zachorować.

— Stodoła u nas teraz prawie pusta, więc na tok można zaprowadzić. Idź, Wasilku, pokaż ludziom.

Chłopiec posłusznie ubrał się i poprowadził nieznajomego. Otworzył na oścież wrota, a zaraz z ciemności wyłoniły się dwa konie, ciągnące wóz z jakimś ciężarem. Zwierzęta wprowadzili do środka, a fura została pod strzechą.

— Ty zostajesz — nieznajomy wskazał na jednego z młodych ludzi.

Nie minął kwadrans, jak byli już w domu.

— A gdzie drugi syn? — zapytał Prokop.

— Będzie spał z końmi. Narowiste, cholera, to niech przypilnuje, a to wam jeszcze stodołę rozniosą.

Gospodyni szykowała wieczerzę. Rozpaliła w piecu i do garnka wkładała kartofle. Na stole stał już dzbanek z mlekiem. Gospodarz zdjął z belki worek i wyjął bochenek chleba. Z sieni przyniósł kawałek słoniny i butelkę gorzałki. Przednówek przednówkiem, ale w domu Prokopa dla gości zawsze musiało być coś do zjedzenia.

— Zanieś, Wasil, i temu tam w stodole coś przegryźć. A i kubek gorzały też. Niech trochę się ogrzeje.

Wasil zrobił, jak ojciec kazał i już miał



wracać, gdy spojrzał na furę. „Co tam może być tak ciężkie, że konie ledwie ciągnęły?" — ta myśl wciąż nie dawała mu spokoju. Podszedł bliżej, ale w ciemności nic nie było widać. Włożył rękę pod słomę. Wyczuł jakąś skrzynię. Dotykał palcami kolejnych desek aż w końcu trafił na niewielką szczelinę. Z trudem wsunął dłoń do środka. W palcach poczuł monety. Serce biło mu tak mocno, jak nigdy w życiu. Długo się nie namyślał — zdjął z siebie świtę, zawiązał rękawy i garść za garścią naładował tyle złota, że ledwie uniósł. W ogromnej skrzyni ubytek był niezauważalny. Wasil swój łup ukrył w szopie i poszedł do domu.

— Gdzie byłeś tak długo? — spytał ojciec.

Wasil nie wiedział, co odpowiedzieć, ale na szczęście wyręczył go nieznajomy.

— Do dziewczyny pewnie chodził. Synów masz, Prokopie, udanych — rzekł nalewając do kubków gorzałę. — No to wypijmy za ich zdrowie.

Za stołem długo nie siedzieli, poszli wkrótce spać. Obudzili się jeszcze przed świtem. Gospodarz odprowadził ich do stodoły, pomógł zaprząc konie.

— Dobry z ciebie człowiek, Prokopie — rzekł na pożegnanie nieznajomy. — Daj no mi swoją czapkę.

Po chwili Prokop trzymał w rękach ze trzy kilo złota.

— Tylko nikomu nie mów, że nas widziałeś.

Wasil, jak tylko się obudził, natychmiast pobiegł do stodoły. Z początku myślał, że to był tylko sen. W szopie złoto było jednak naprawdę. Pobiegł po ojca.

Joanna Pawluczuk

Rys. W. Szaranhowicz

Za miesiąc część II pt. „Na własność państwa".

Jak organizowano szkolnictwo białoruskie

W polskich archiwach zachowało się niewiele dokumentów dotyczących szkolnictwa białoruskiego na Białostocczyźnie po ustąpieniu okupantów niemieckich w końcu lipca 1944 r. Materiały, które przetrwały, mają dziś wartość historyczną. Są one jedynym źródłem wiedzy o przeszłości, ponieważ świadkowie tamtych wydarzeń już nie żyją. Przekazy te świadczą o białoruskiej myśli oświatowej w regionie białostockim, funkcjonującej całkowicie samodzielnie i na wysokim poziomie.

Na następnej stronie przedstawiamy trzy dokumenty sporządzone w końcu 1944 r. Autorem pierwszego jest absolwent filologii Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, magister Milecjusz Andzilewko, pełniący od sierpnia do listopada 1944 r. funkcję naczelnika Wydziału Szkół Mniejszościowych w Kuratorium Okręgu Szkolnego Białostockiego. W dokumencie, opatrzonym datą 22 września 1944 r., wyrażony został białoruski pogląd na sprawy oświaty w języku ojczystym. Jego treść dotyczy także szerszego zagadnienia — stanu białoruskiej świadomości narodowej na Białostocczyźnie. Nieliczna elita białoruska była świadoma trudności, z jakimi borykały się szerokie rzesze Białorusinów przy określaniu swojej narodowości. Już wtedy postrzegano nieadekwatność terminu „ruski" dla samookreślania się tych ludzi, podkreślając, że jest to powiązane z przynależnością do prawosławia. Podział na „ruskich" i „polskich" (rzymskich katolików) pozostał po urzędnikach carskiej Rosji i nie odzwierciedlał pochodzenia etnicznego i pierwotnej przynależności do wschodniosłowiańskiego lub zachodniosłowiańskiego kręgu kulturowego. Wtórnym wyznacznikiem, za którym szła identyfikacja narodowa mieszkańców Białostocczyzny — we współczesnym jej rozumieniu — stały się wpływy dwóch wielkich Kościołów. Proces ten zaczął się jeszcze przed I wojną światową. To na tym tle doszło do podziału ludności białoruskiej, zamieszkującej były powiat białostocki i sokólski, na Polaków i Białorusinów. W efekcie, w XX wieku, większość tego regionu pod wpływem religii rzymskokatolickiej całkowicie zmieniła swe oblicze kulturowe. Pół stulecia wstecz wśród rzymskokatolickich mieszkańców wsi Sokólszczyzny oraz okolic Białegostoku język białoruski był jeszcze żywy (dlatego działacze białoruscy uznali „mowę domową" za obiektywny wyznacznik przynależności narodowej). Stąd też wynikał postulat tworzenia w takich środowiskach szkół z niepolskim językiem nauczania.

Na pozór dyskusyjne wydawać się może nawiązywanie przez M. Andzilewkę do lat 1939-1941, czyli okresu władzy radzieckiej na Białostocczyźnie. Należy jednak pamiętać, że w tym czasie utworzono tu szkoły z białoruskim językiem wykładowym, a Białorusini mieli jeszcze świeżo w pamięci dyskryminacyjną politykę polskich władz, które w 1924 roku zlikwidowały takie placówki.

Z tekstem M. Andzilewki koresponduje pismo białostockiego pełnomocnika Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, majora Leonarda Borkowicza, skierowane do kierownika Resortu Oświaty PKWN, dr. Stanisława Skrzeszewskiego, z datą 30 września 1944 r. Dowodzi ono, że władze administracyjne w województwie białostockim początkowo poparły stanowisko środowiska białoruskiego w sprawie szkolnictwa niepolskiego. Problem szkolnictwa białoruskiego postrzegano jako złożoną strukturę, w której obok placówek kształcąco-wychowawczych działałoby zaplecze pedagogiczno-naukowe, wykraczające kompetencjami poza wąskie ramy nadzoru administracyjnego. Celem takiej instytucji miało być m.in. przygotowywanie programów i podręczników dla szkół białoruskich i kształcenie nauczycieli.

Dokument nr 3 to pismo podpisane przez pracownika Resortu Oświaty PKWN Bronisława Biedowicza, datowane na 3 października 1944 r. Zawiera ono stanowisko polskich władz komunistycznych w sprawie szkolnictwa białoruskiego, ale — co zasługuje na podkreślenie — zostało zredagowane w formie raczej propagandowej. „Prawo do swobodnego rozwoju różnych narodowości zamieszkałych na ziemiach polskich i kultywowanie przez nich odrębnych właściwości narodowych" pozostało tylko na papierze. Już po roku szkoły białoruskie zlikwidowano. Podobnie w celach wyłącznie propagandowych — na użytek doraźny, z zamiarem zwykłego okłamywania obywateli — posługiwano się sformułowaniami typu „ziemie polskie" i „Naród Polski". Władze komunistyczne oficjalnie głosiły hasła patriotyczne, a po cichu dokonywały fizycznej likwidacji polskiej opozycji (w tym inteligencji). W postępowaniu komunistów cel uświęcał środki. Tym celem było przejęcie władzy na terytorium powojennego państwa polskiego.

Materiały znajdują się w Archiwum Akt Nowych w Warszawie.

Sławomir Iwaniuk

Dokument nr 1

Uwagi dotyczące organizacji szkolnictwa mniejszościowego w okr[ęgu] białostockim w roku szk[olnym] 1944/45

Wobec tego, że sprawa organizacji szkół mniejszościowych nie została poruszona w „Wytycznych organizacji publicznych szkół powszechnych w roku 1944/45" wydanych przez Resort Oświaty PKWN Wydział Szkolnictwa Mniejszościowego, Kuratorium Okr[ęgu] Białostockiego uważa za konieczne wydanie specjalnych wskazówek w tym kierunku i uwzględnienie uwag Wydziału dotyczących organizacji szkół mniejszościowych w okręgu białostockim.

1/ Przy organizacji szkół mniejszościowych przyjąć za podstawę język macierzysty, nie zaś narodowość dziecka, wychodząc z tego założenia, że pobieranie nauki w języku macierzystym niezmiernie ułatwi dzieciom opanowanie przedmiotu, co jest bardzo ważne w obecnych warunkach, kiedy nasza młodzież była pozbawiona w okresie okupacji niemieckiej możności uczenia się i nie ma czasu na opanowanie trudności językowych, które bezsprzecznie napotka pobierając naukę w jęz[yku] niemacierzystym. Postawiona w ten sposób sprawa ułatwi organizację szkolnictwa, ponieważ na skutek polityki rządu sprzed roku 1939 zatarło się poczucie przynależności narodowej. Chodzi tu przede wszystkim o ludność białoruską. Polski i „ruski" to dwa pojęcia, których się używa często w okręgu białostockim dla określenia swojej przynależności narodowej, wychodząc od poczucia przynależności religijnej. Posługiwanie się paszportami rodziców wyklucza rozstrzygnięcie tej sprawy pozytywnie — polskie paszporty nie zawierały rubryki narodowości, sowieckich paszportów prawie że nie posiada ludność, natomiast w niemieckich paszportach przy określeniu narodowości brało się pod uwagę miejsce urodzenia. Wskazane jest dla dobra rozwoju szkolnictwa w okr[ęgu] białostockim, aby organizatorzy szkół i nauczyciele wyjaśnili rodzicom, że nie o polonizację, czy też białorusyfikację w danym wypadku chodzi. Chodzi o dobro dziecka, które będzie się w tej szkole uczyło i któremu my powinniśmy stworzyć takie warunki, by mogło szybko nadrobić stracone lata.

2/ Nawiązać organizację rozbudowy szkolnictwa mniejszościowego do roku 1939-1941, który to okres był okresem rozwoju szkolnictwa mniejszościowego w okręgu białostockim. W przejściowym programie nauczania uwzględnić program nauki stosowany w szkolnictwie okr[ęgu] białostockiego w latach 1939-1941.

3/ Zezwolić tymczasowo korzystać w szkołach mniejszościowych z podręczników, z których korzystały szkoły w roku 1939-1941 z tego względu, że dzieci przechowały pewną ilość tych podręczników. Braki podręczników, jak również pomoce naukowe, można będzie uzupełnić przez sprowadzenie z ZSRR.

N[ota] B[ene]. Przed rokiem 1939 ludność białoruska, rosyjska nie miała własnej szkoły, przeto na terenie wojew[ództwa] białostockiego nie było podręczników dla tych szkół.

4/ Zezwolić [na] zatrudnienie nauczycieli w szkołach mniejszościowych o niepełnych kwalifikacjach na skutek braku kwalifikowanych nauczycieli, czemu się znacznie przyczynił rząd sanacyjny swoją polityką narodowościową. Chwilową nieznajomość języka państwowego nie uważać za przeszkodę w zatrudnieniu nauczycieli w szkole mniejszościowej. Znajomość języka państwowego, jak również kwalifikacje pedagogiczne, będą stopniowo uzupełniane.

5/ Wprowadzenie do programu nauczania w szk[ole] mniejszościowej jęz[yka] polskiego, do klasy III-ciej na tej podstawie, że język polski, białoruski względnie rosyjski stanowią grupę języków słowiańskich i bliskie pokrewieństwo tych języków przy niedostatecznym opanowaniu macierzystego ujemnie wpłynie na postępy w [nauce] języka polskiego.

6/ Dla możności dzieciom poznać historię i geografię własnego narodu, [należy] wprowadz[ić] te przedmioty do programu nauczania.

Dokument nr 2

Zagadnienie szkolnictwa mniejszościowego na terenie woj. białostockiego nie zostało dotychczas zadowalająco rozwiązane i dlatego pozwalam sobie zwrócić uwagę Obywatela Ministra na ważniejsze momenty tej sprawy.

1. Sprawa kwalifikacji nauczycieli. Wobec braku dostatecznie kwalifikowanych nauczycieli białoruskich istnieje konieczność dopuszczenia do pracy nauczycieli, którzy w okresie władzy sowieckiej ukończyli jedynie 6-miesięczne kursy pedagogiczne, z obowiązkiem podwyższenia kwalifikacji w ciągu najbliższego roku.

2. Wobec tego, że nie wydaje się praktycznie możliwym, aby sprawa białoruska została u nas w najbliższym czasie rozwiązana drogą repatriacji, uważam za konieczne istnienie dydaktycznego ośrodka białoruskiego bądź to w postaci wydziału mniejszościowego przy Kuratorium w Białymstoku, bądź też — co byłoby najlepsze — w ramach takiego wydziału w Resorcie Oświaty PKWN.

3. Duże trudności nastręcza zagadnienie podręczników białoruskich, szczególnie podręczniki historii i języka ojczystego. Uważam za niedopuszczalne używanie podręczników sowieckich, podobnie i tłumaczenie podręczników polskich, które treścią swoją dalekie są od rzeczywistości, w której żyje dziecko białoruskie. Rozwiązanie sprawy podręczników jest natomiast możliwe drogą stworzenia na razie niewielkiego periodycznego wydawnictwa, w rodzaju naszego „Płomyka", do czego znów potrzebny jest taki ośrodek dydaktyczny, o którym wspomniałem w punkcie 2.

Proszę o wydanie decyzji w powyższych sprawach.

Dokument nr 3

Zgodnie z zasadami prawdziwej demokracji Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego uznaje prawo do swobodnego rozwoju różnych narodowości zamieszkałych na ziemiach polskich i kultywowania przez nich odrębnych właściwości narodowych. Wychodząc z tych założeń, Resort Oświaty upoważnia Kuratorium Okręgu Szkolnego Białostockiego do organizowania dla dziatwy narodowości białoruskiej szkół powszechnych z białoruskim językiem nauczania na zasadach stosowanych do szkół z polskim językiem nauczania.

1. W gminach, w których rodzice białoruskiej narodowości złożą żądania otwarcia szkoły powszechnej z białoruskim językiem nauczania należy taką szkołę uruchomić, jeżeli liczba zgłoszonych do niej dzieci wynosi co najmniej czterdzieści.

2. Szkoły prywatne wszelkiego rodzaju dla dzieci i młodzieży białoruskiej z wykładowym językiem białoruskim mogą być zakładane na takich samych warunkach, co szkoły prywatne z językiem wykładowym polskim.

3. W szkołach różnych typów, zarówno prywatnych jak i państwowych, z językiem wykładowym białoruskim, obowiązkowa jest nauka języka polskiego w wymiarze godzin tygodn[iowo] równym liczbie godzin języka białoruskiego, z wyjątkiem I roku.

Aleś Czobat

Na końcu jednego i drugiego świata

III. Wciąż między dwoma światami

Samopoczucie u Kresowych na dobrą sprawę nie różni się od samopoczucia u Tutejszych. Nie są oni przecież taką czy inną narodowością, lecz plewami od ziarna. Jeśli można dopatrzyć się jakiegokolwiek rozróżnienia między Kresowymi a Tutejszymi, to jedynie w tym, że pierwsi zawsze mogą uczepić się najbliższego kościoła, a drudzy komitetu rejonowego odnawianej partii komunistycznej... Samotność i opuszczenie natomiast obojga równo dotyczny. I bije w psychikę, jak jasna cholera! Kresowi Polacy nie są Polakami, jak i Tutejsi — nie Białorusinami. To rozbitkowie i, jak powiedziałem, plewy to na wietrze. Pozostałości gruzowiskowe na miejscu niegdysiejszej Zachodniej Rosji i późniejszej Wschodniej Polski. Znany Zianon Paźniak popróbował na początku lat dziewięćdziesiątych nasycić te tereny ideą białoruską, ale w końcu dał temu pokój... Rzecz w tym, że idea ta opierała się na pojęciu sprawiedliwości. Gdy tymczasem najgłupszy wie tutaj, że sprawiedliwość jest pięknym wymysłem, poezją...

Wspólnie wypatroszyliśmy Białoruś, każdy z nas chapając z niej tylko dla siebie.

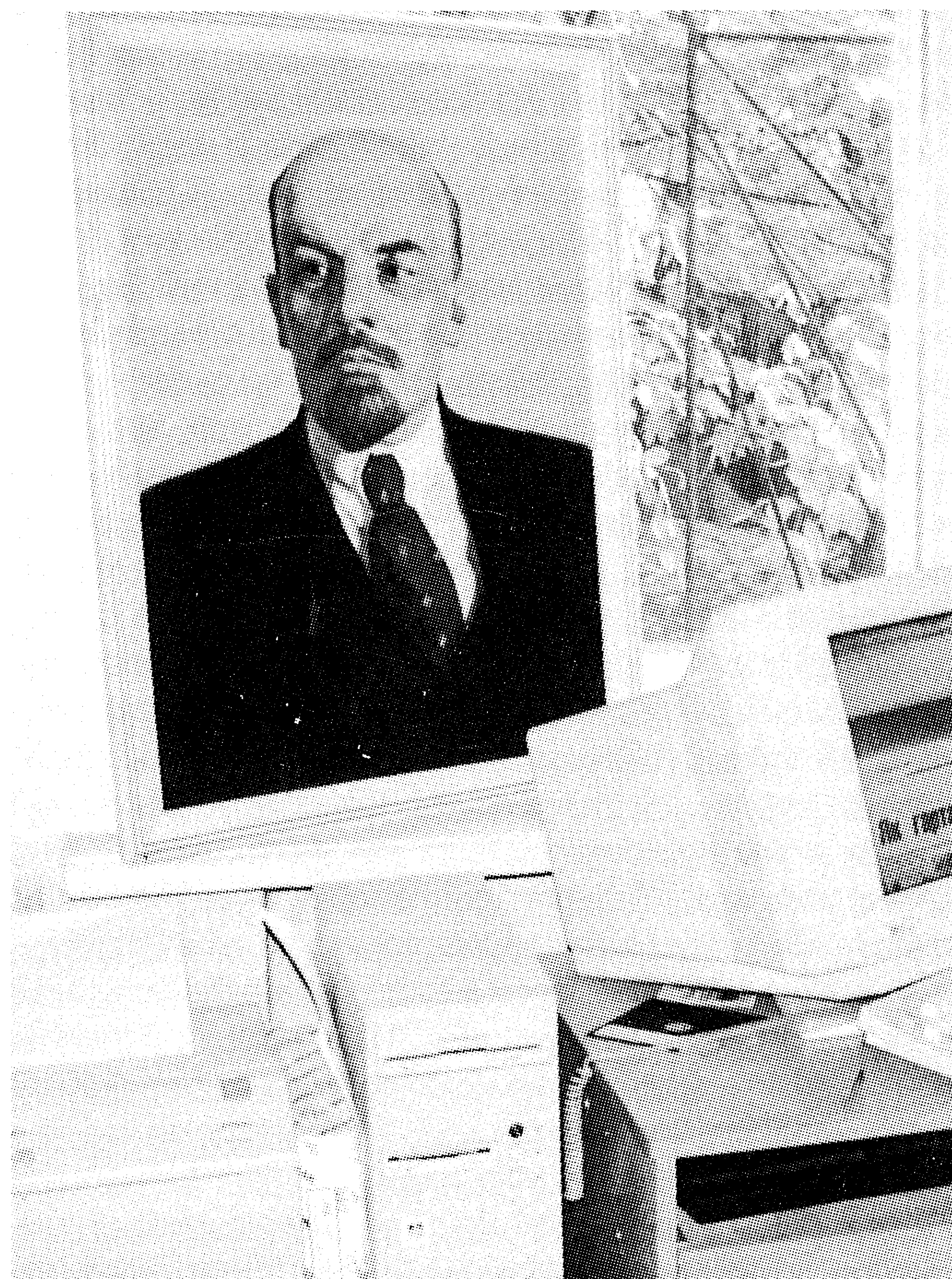
Młode pokolenie w niczym istotnym nie odróżnia się od starszego. Jeśli zechce, lekce sobie odnowi nieskończenie długie porachunki przodków i roznieci zarzewie nienawiści. Jest najzupełniej bez znaczenia to mianowicie, kto pierwszy zacznie.

Czyżby natura człowieka nie uległa żadnej zmianie? Czyżby Historia niczego nie nauczyła? Czyż znowu wróci się to, co już było i minęło? Na to się zanosi. Zwłaszcza w świetle ostatnich decyzji białoruskiego kierownictwa państwowego przy pełnym poparciu narodu, przytłaczającej większości. W głowie przeciętnego Białorusina doskonale mieszczą się pojęcia, zdawałoby się, wzajemnie się znoszące: popiera on jednoczenie się swego państwa z Rosją, występując jednocześnie o byt niepodległy. Kresowy w międzyczasie udaje, że on tutaj raczej nie mieszka i nic nie obchodzą go te wydarzenia w Białorusi.

Białorusini w Polsce przynajmniej wyczuwają swą nienormalność, będąc myleni przez Polaków z Ruskimi. Przy tej okazji można zarzucić Warszawie, iż maluczko interesuje się wschodnimi sąsiadami, a jeśli nawet, to głównie mniejszością polską za Bugiem i nad Niemnem. Taka niepoważna wybiórczość tematów, jednostronnie polonijna, dobrem się nie skończy. Trzeba też powiedzieć, że podobny brak zainteresowania, w tym wypadku Polską, obserwuje się ze strony białoruskiej. Zarówno w środowisku władzy, jak i opozycji, i, co gorsze, również opinii publicznej. Prymitywną orientację wyłącznie na Rosję można w końcu objaśnić, na przykład, mentalnością brutalnie skolonizowanego ludu, chłopstwa, lecz dlaczego narodowo zaangażowana wierchuszka, uprawiająca opozycję względem reżymu, nie zdobyła się na nic więcej poza koncepcją sojuszu bałtycko-czarnomorskiego, wykoncypowanego w cieniu Wielkiego Księstwa Litewskiego za Witolda. Panowie historycy nasi raczą nie pamiętać, że ową Litwę cementowała wszakże polska kulturalność, rozlewająca się po szlacheckich dworach i dworkach; inna nie zdołała wrosnąć w tę ziemię. Co tam zresztą kulturalność... Ogólnej idei cementującej, zwierającej to państwo, nie było, ot co! Aleksandra Bergman trafnie zauważyła, że gdyby w czasach kanclerza Lwa Sapiehy język starobiałoruski pozostawał w powszechnym użyciu w państwie, w sądownictwie i w administracji, to nie zaistniałaby potrzeba zobowiązywania do tego osobnym przepisem w sławetnym Statucie Litewskim z 1588 r. Prawo jest tworzone nie dla samej sztuki tworzenia go, lecz w miarę potrzeb życia zbiorowego (jeśli coś się nakazuje, znaczy to, że nie było wykonywane).

Widoki na sojusz bałtycko-czarnomorski w oparciu o tradycje Wielkiego Księstwa Litewskiego są bliskie zeru, tym bardziej bez uwzględnienia Polski, bez której dawną Litwę zećpałby z kopytami już Iwan Groźny. Tradycje tradycjami, ale warunki są nie te dzisiaj; sama jeno Ukraina wkrótce pocznie aspirować do mocarstwa, dysponując potencjałem dorównującym np. Francji.

Uwidocznia się teraz niebezpieczeństwo obojętnienia Polski na losy Białorusi w pozytywnym znaczeniu. Polityczny Mińsk zaś prowadzi żywot raczej senny, w zestawieniu z niezwykle dynamiczną polityką zagraniczną Warszawy. Wystarczy pobieżny wgląd do nowszej historii, by zauważyć, że choleryczni Polacy stale gwałtownie przebudowywali swe państwo, poczynając od Konstytucji Trzeciomajowej. Po dwudziestym roku ledwo zdążyli oni przejść się wąskim wybrzeżem odzyskanego dostępu do Bałtyku, a jużci zabrali się do tworzenia Ligi Morskiej i Kolonialnej, tudzież zastanawiania się w Sztabie Generalnym nad możliwościami pozyskania części kolonii poniemieckich w Afryce; inspirowano secesję Kurytyby, brazylijskiego stanu z przewagą naówczas kolonistów polskich (nic to, że okazało się owo przedsięwzięcie kompletnym szaleństwem, a w konsekwencji zagładą polskości w tej prowincji).



Wciąż żywy duch Wujka Wołodi

Fot. J. Osiennik

Powiedzmy sobie i to, że polityka jako taka od zarania dziejów ludzkości niezmiennie okazywała się być gigantyczną omyłką. Po prostu taka jest jej natura, że swe chcenie przyjmuje za rzeczywistość. Przyszłość nie poddaje się przewidywaniom. Chociaż przewidywać trzeba, by nie popadać w szok całkowitego zaskoczenia wydarzeniami. Najprościej zdać się na wolę losu, ale wówczas dostaniesz po bokach w dwójnasób.

Polskie prognozy nierzadko są z sufitu brane, mimo to kraj ten jakoś wyczołguje się z zapaści społeczno-gospodarczej. Myśląc o Białorusi, w tym miejscu niepodobna wręcz opędzić się przekonaniu, że zsuwa się ona na dno nędzy i ślepej rozpaczy. Oznaczać to może nic innego, jak wzrost napięcia w stosunkach polsko-białoruskich i znanej skądinąd manii podejrzliwości. Polska nie jest pozbawiona szans na wspomaganie Białorusi w dobrze pojętym interesie własnym, lecz, niestety, jej wzrok pada niemal wyłącznie na tych Kresowych. To nic jej nie da, ale, widocznie, taki już magnetyzm w jej spojrzeniu albo polityczny wymóg sytuacji wewnętrznej...

Białoruś sporo czasu postoi sobie w miejscu. Groźne to będzie nie tyle dla niej samej, co dla otaczających ją państw i w ogóle bezpieczeństwa europejskiego.

Obrazowo charakteryzując nasze białoruskie nieszczęście — kamieniem młyńskim u szyi uwiesiła się nam Historia, kompletna jej nieznajomość i — co gorsze — absolutna niechęć do poznania jej. Na to nakłada się białoruski prymitywizm i polski paternalizm, dość odruchowy zresztą. Czy wolno zatem mniemać, iż dałoby się wykonstruować ogólną koncepcję historycznego rozwoju Białorusi i Polski? Z pewnością! Lecz — i tu również nie mylę się — nie zostałaby ona przyjęta przez społeczeństwa obu krajów, nawet przez przeważającą część ich elit. Powody takiej ewentualnej reakcji są widoczne wprost gołym okiem, więc darujmy sobie dalsze wywody.

Najwygodniej się żyje dniem wczorajszym i dzisiejszym. Jednakże wbijmy sobie do głowy tę banalną prawdę, że Historia mści się tym okrutniej, im doszczętniej jest zapomniana. Nasuwa się mimo woli pytanie: jakież więc wyjście? Odpowiadając na nie, trzeba pierwej stwierdzić, czyj pogląd na stosunki polsko-białoruskie jest bardziej niebezpieczny. Oczywiście białoruski, jako wspierający się marksizmem. Cała groza marksizmu zawiera się w tym, że brak w nim wątpliwości, wszystko i do końca jest jego wyznawcom jasne, wprost narzucają się oni z tym swoim jasnowidztwem, racjami. Sama zaś mentalność nacji biedaków charakteryzuje się agresywnością, krzykliwością. Żeby donośnie krzyczeć, wystarczy mieć nie zachrypnięte gardło; krzyk nie potrzebuje dowodów i analiz. Hołota drze mordę na bogaczy, nie pojmując, że sama jeszcze niczego dobrego nigdy nie uczyniła światu. Owszem, masakry chętnie. Czyli rewolucje. Po którejś z nich, np. Francuzi prawie sto lat wychodzili z depresji. Ciągnąc przy tym nielicho z kolonii.

Słabą stroną polskiego partnera jest nieobecność w jego świadomości wyodrębnionego pojmowania historii Białorusi, w znaczeniu historii kultury białoruskiej i narodu. Poniekąd odruchowo Białoruś jest postrzegana jako była prowincja Polski, zagarnięta przez Moskali, no i jako termin geograficzny. To stąd owo ograniczenie się do polskich śladów na Kresach i niemal zupełny brak zainteresowania białoruskimi śladami w kulturze polskiej.

Idźmy dalej. Ponieważ bardziej zasobnemu prościej jest dzielić się z biedniejszym od siebie, jeśli zechce, to wniosek z tego jest taki, że inicjatywa w ugruntowywaniu stosunków wzajemnych między nami-narodami należy bez wątpienia do Polaków. Klucz do tej sytuacji widzi mi się niezbyt skomplikowany: dość pójść w ślady Czesława Miłosza, używającego terminu „Litwin", i wykreować pojęcie „Białorusina kultury polskiej". Nie rozumiem, dlaczego poeta białoruski Mikoła Husouski mógł tworzyć po łacinie, zaś także białoruski poeta Adam Mickiewicz czyżby nie mógł w polszczyźnie?! Wystarczy w tym przypadku wziąć pod uwagę ówczesne zjawisko polonizacji, by wszystko stanęło na swym miejscu. Ale z kim tu o tym mówić? Do znudzenia słyszy się owo „my tu z dziada-pradziada". No i co z tego? — Wielki polski mesjanizm i jednoczesna niezdolność uznania w takim właśnie kontekście bezpośrednich i potężnych wpływów kultury polskiej na duchowość sąsiadujących z Polakami narodów. Mickiewicz koniecznie musi być wyłącznie polski! Gdzie sens, gdzie logika? — przecież to umniejsza oklepaną chlubę.

Nagminnie utożsamia się historię narodu z historią państwa. Ów swoisty analfabetyzm irytuje! Przecież historia każdego państwa jest historią wojen i gwałtów. I niewiele ma wspólnego z historią kultury narodowej, jest czymś nieporównywalnie węższym. Nie państwo decyduje o wielkości nacji, lecz jej kultura i jej geniusze. Obecne państwo białoruskie — to socjalizm, bo jego obywatele nic innego nie doznali w swym życiu. Powiem więcej: Białoruś zrodziła się jako państwo właśnie socjalne, o czym już wcześniej się wypowiedziałem. Nikt tu u nas naprawdę nie ma zamiaru demontować owego socjalizmu. Powszechnie uważa się, że dość przeprowadzić jakiś remont kapitalny ustroju i znowu fajnie będzie! Naciski mało co rozumiejącego Zachodu na „socjalizm białoruski" przynoszą odwrotny skutek. Można go z zewnątrz zapętlić i udusić, ryzykując niewyobrażalnym wybuchem społecznym. Znany z dziewiętnastowiecznych rycin „rab białoruski" dziś emituje z siebie zaciekły komunizm w geograficznym środku Europy. On musi się sam wymęczyć do samiutkiego skonania. Bez uszczęśliwiania go na siłę, broń Panie Boże!

Nie było u nas przyzwolenia społecznego na rozwałkę Sowieckiego Sojuzu. Nadal on istnieje jak gdyby, imperia nie zapadają się bez śladu. Przemożny cień Rosji nad Białorusią nie złagodnieje bez wpływów tutaj Europy. Dla Białorusinów Europą jest Polska. Dziś odwrócona plecami do Białorusi, uważająca widocznie, że nie opłaci się dla niej skórka za wyprawkę... Więc zgadza się, by czołgi rosyjskie przelokowały się ze smoleńskich baz na grodzieńskie poligony? Do przyszłych granic NATO.

Polacy są w czymś zobowiązani wobec nas? Bynajmniej, jeśli nie brać w rachubę tej oczywistej okoliczności, że przekształcanie się narodu białoruskiego w naród europejski służy elementarnym interesom również Państwa Polskiego. I równie oczywiście szkodzi tym interesom tworzenie mitu „drugiej Polski" na Zabużu i nad Niemnem. Pomijając całą utopijność tego zjawiska psycho-społecznego, zagraża ono jednak procesom odmiany na lepsze nastrojów ogólnospołecznych. Sowieci nie mogą przecie żyć bez wroga, nie ułatwiajmy więc im życia.

Dość tego, że żyjemy na styku dwóch światów, na groźnie iskrzących ich końcówkach.

Ciężko być Białorusinem. Późno już młodemu być człowiekiem radzieckim jednak. Pozostaje ulżyć sobie, przenosząc się do Polaków. Ale, jak powiedziałem, to nie jest takie proste i z kwitkiem odpędzają cię od niezbyt pełnego koryta... Obliżuj się i cierp, Białorusinie! A świat, Boże Wszechmocny, zmienił się nie do poznania: przestało opłacać się posiadanie kolonii, zatracają swój sens wojny i kampanie polityczne, w których przeciwnicy mówią właściwie to samo i napieprzają

się jedynie gwoli ciepłych posadek i mamony. Natomiast trwa rywalizacja całkiem w innym gatunku — trudna do zauważenia, ale przez to wcale nie mniej groźna, a dopuszczony w tej grze błąd jest równie kosztowny jak przed wiekami.

Białorusini są czymś w rodzaju pasażerów oczekujących na swój pociąg, Białoruś zaś można wyobrazić sobie jako ogromną poczekalnię. Ale dokąd?!

Pocieszmy się tym, że w Europie niemożliwa jest „czarna dziura", tym bardziej o niebagatelnych wymiarach terytorialnych Białorusi. Która zdążyła już pobyć „pod tym i pod tym".

W 1991 roku, gdzieś koło Miadziołu na Pojezierzu Białoruskim, miało miejsce pamiętne zebranie ludowe, na którym wystąpił był lektor ze stołecznego Mińska. Pytanie do niego, formułowane przez ogół słuchaczy, brzmiało następująco:

— Komu teraz będziemy podlegać?

— Nikomu — odrzekł lektor. — Republika Białoruś jest od dziś niepodległa.

— Tak to tak — dopytywali się dalej słuchacze. — Ale kto będzie nami rządzić? Niemcy czy Polacy?

— A jak myślicie? — roześmiał się lektor.

— Myślimy, że jednak Niemcy...

— Dlaczego Niemcy? — zdumiał się gość ze stolicy.

— No bo, panie, ileż tych Polaków jest...

Słabiutka jest wiara na Kresach w Polską Rzeczpospolitą.

Maj '97

Przetłumaczył i opracował Sokrat Janowicz

Tamara Bołdak-Janowska

W stronę białoruskości

Białorusin (w tym także polski Białorusin) prawie że od kołyski włada kilkoma słowańskimi językami lub przynajmniej rozumie je bardzo dobrze. Z reguły są to — poza białoruskim — rosyjski, polski, ukraiński (jeszcze do niedawna jidisz, litewski, niemiecki). Białorusin od razu po przyjściu na świat porusza się w kilku słowiańskich i niesłowiańskich kulturach. Jest to spadek (świetny) po mozaice kulturowej Wielkiego Księstwa Litewskiego. Ta wielobarwność kulturowa tkwi szczególnie głęboko zwłaszcza w psychice polskich Białorusinów.

Jeśli jednak Białorusin zdobywa wykształcenie, to (od czasów upadku Księstwa) za pośrednictwem języka polskiego lub rosyjskiego. Sam będąc takiego rodzaju Słowianinem, który nie ma uczulenia na inne języki słowiańskie, spotka się na pewno podczas edukacji z polskim lub rosyjskim uczuleniem na język białoruski i na inne języki słowiańskie. Następnie Białorusin bardzo mocno zaniedbuje właśnie swój język ojczysty i własną kulturę. Zaś Polacy i Rosjanie jego język traktują jak dialekt.

Szkoły podstawowe Słowian z reguły nie uczą języków słowiańskich sąsiadów. Chyba że pod przymusem, tak jak to było z rosyjskim. Uprzedzone do nie swojej słowiańszczyzny (w tym do języka), Polska i Rosja od kilku wieków już nie chcą u siebie nauki innych języków słowiańskich niż własny.

Upadek wielonarodowej ojczyzny, jaką było Wielkie Księstwo Litewskie, gdzie język białoruski był powszechnie panującym, zniszczył i okaleczył psychicznie Białorusinów. Teraz w ich sercach i głowach pobrzmiewają już tylko echa barwnej i świetnej przeszłości. Polak i Rosjanin zaś, jeśli myślą o słowiańskości, to przeważnie w kategoriach panowania nad sąsiadami.

Tak więc Białorusin od kołyski chłonie inną niż własna kulturę, podczas gdy sąsiedzi uważają go za nic nie znaczący przedmiot.

Jeśli pojedziemy na Białoruś lub trafimy do środowiska polskich Białorusinów, możemy rozmawiać tam w języku jaki nam się podoba — polskim, rosyjskim, ukraińskim — będziemy zrozumiani i wysłuchani. Ale z podobną postawą wobec języka białoruskiego nie spotka się Białorusin ani w Polsce, ani w Rosji. I u nas, i w Rosji rozmówcy będą udawać, że nie rozumieją, co się do nich mówi. W Polsce, w czasach komunizmu, niechęć do innego niż polski języka słowiańskiego była doprowadzona do absurdu. Swój udział w tym miało hegemoniczne narzucenie przez ZSRR nauczania języka rosyjskiego na wszystkich szczeblach edukacji. Przypominam sobie pewną śmieszną historię z tamtego okresu. W Białymstoku, gdzie połowa mieszkańców ma białoruskie korzenie, ekspedientka w sklepie nie mogła zrozumieć, co mówi do niej staruszka ze wsi.

— Pani, dajcie hraduśnik i hrebień — prosi kobieta. — Co? Co to jest hraduśnik i hrebień? Nie rozumiem — odpowiada sklepowa. — Pani, no hraduśnik chcę i hrebień. Hra-du-śnik! Hre-bień! Mówię przecież czego chcę, co tu nie rozumieć... — staruszka nie daje za wygraną. Tym razem ekspedientka odpowiedziała jej bardzo wzburzona: — Jaki hrebień! Jaki hradusnik! Jak się żyje w Polsce, trzeba mówić po polsku! Hraduśnika, hrebienia jej się zachciało, a idźże sobie babo... Powiedziałam: **nie rozumiem...**

A ja nie uwierzę, że mieszkając w Białymstoku można nie wiedzieć, co to jest hraduśnik i hrebień. (Głuchym na słowiańskość, wyjaśniam: chodziło o termometr i grzebień.)

Z kolei jeśli coś nieoczekiwanie palnie się z białoruska w Moskwie, niechybnie publika dostanie skrętu kiszek ze śmiechu na dźwięk takich słów jak: „słuchać", „bulba", czy „reka" z twardo wymówionym „r". Jeśli Rosjanin usłyszy „słuchać" zamiast „słuszat'", skrzywi się z niesmakiem, tak jak Polak skrzywiłby się, gdyby ktoś zamiast „ruszać się" rzekł „ruchać się" (tak właśnie niejeden niewykształcony Białorusin z białoruska wypowie się po polsku). Można powiedzieć, że i dla Polaka, i dla Rosjanina język białoruski brzmi nieskończenie prymitywnie. („Chwiga" zamiast „figa", „Chwaroba" zamiast „choroba", „bliskawica" zamiast „błyskawica"; „harmata" — „armata", „chiba" — „chyba", „cwyrkać" — „ćwierkać", „cukar" — „cukier".) Gdzież te czasy, kiedy sławni wodzowie i przywódcy gadali sobie z ludem po białorusku, jak choćby marszałek Piłsudski!

I tak tracimy swój skarb: duszę składającą się z kilku wyobraźni, kilku mentalności, kilku języków słowiańskich. Pisząc tak mam na myśli nie pęknięcie osobowości, ale jej poszerzenie.

Z honorem pielęgnujemy natomiast psychiczny „Kraj Jęczmienny" — jednowymiarową słowiańskość. Podobnie dzieje się z religią. Niektórzy (katolicy), mieszkając w Białymstoku, przez całe swoje życie nie zajrzą do cerkwi, aby na przykład posłuchać choć przez chwilę nad wyraz pięknego i oryginalnego śpiewu chóralnego. Uważają to za czynność zbędną, prawie że zdradę katolicyzmu.

Teresa Zaniewska

Motyw drogi i wędrowca w poezji Białowieżan

Cd. z poprzedniego numeru

(...)
Шчаслівы, я вяртаюся
да Маткі, да Ітакі
каб сцерагчы
твае бары, твае даліны.
Лепш мне ў Айчыне
быць сабакам
чым каралём
дзесь на чужыне.
(...)[8]

Ziemia rodzinna wydaje się szczęściem bardziej jako cel dążenia, niż jako spełnienie. Podróż staje się formą wtajemniczenia w istotę i esencję życia, wskazując na jego sens zawarty od wieków w dążeniu, które towarzyszy naturze ludzkiej tak długo, jak stary jest człowiek.

Częstotliwość pojawiania się w poezji Białowieżan motywu drogi, wędrowca i wędrówki znajduje odbicie już w samych tytułach wierszy czy poszczególnych tomików: Wiktora Szweda „Życiowe ścieżki" („Жыццёвыя сцежкі"), Jana Czykwina „Idę" („Іду"), Nadziei Artymowicz „Z niespokojnych dróg" („З неспакойных дарог"), Dymitra Szatyłowicza „Etiudy podróżne" („Эцюды падарожжа"). Drogę po okręgu wyraża w pewnym sensie tytuł zbioru wierszy Alesia Barskiego „Bliskość dalekiego" („Блізкасць далёкага")[9] oraz Jana Czykwina „Droga kielicha" („Кругавая чара"). Wszystkich mieszkańców Ziemi łączy wspólna wędrówka przez życie, wspólny los, którego boleśnie doświadczają dzień po dniu. Żyją pędzeni wichrem i burzą, dotykani znojem i cierpieniem, ranieni bólem. Symbolem przemawiającym „z głębi matafory" jest tytułowy kielich, będący wyrazem przydzielonego człowiekowi losu. W symbolice biblijnej zawiera on część wina, którą podaje się każdemu do posiłku. Stąd wypływa jego metaforyczne odniesienie do losu człowieka. Cała droga ludzkiego życia jest drogą kielicha. Pijemy z niego wspólnie, przekazując z rąk do rąk. Poprzez obrządek picia z tego samego naczynia przynależymy do jednego kręgu Ludzkiej Wspólnoty i ten sam los jest naszym wspólnym udziałem z woli przeznaczenia, co kryje się w tytułowej metaforze zbioru liryków Jana Czykwina. Motyw kielicha pojawił się już we wcześniejszej twórczości poety. W jednym z wierszy podmiot liryczny dzieli się refleksją:

Хочаш не хочаш
дадуць табе імя
за сталом пасадзяць
чарку сцябнуць
навучаць[10]
(...)

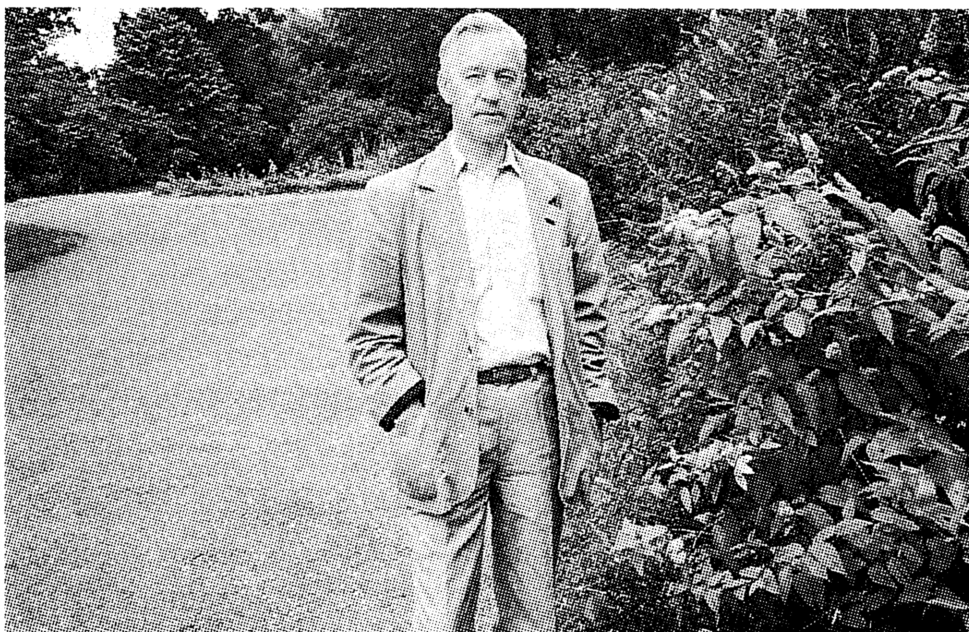
Podobnie jak legendarny Graal dostarczał swoim opiekunom pokarmu i napoju oraz zapewniał im nieśmiertelność, tak i symboliczny kielich otwiera przed bohaterem lirycznym możliwość ocalenia i odrodzenia duchowego poprzez świat uniwersalnych wartości. Puchar wraz ze swą zawartością — z dobrem i złem — staje się przekazicielem życia, bowiem poszczególnym członkom ziemskiej wspólnoty przekazuje wodę symbolizującą płyn życia porównywanego do wędrówki. Podmiot liryczny „Drogi kielicha" pozostaje samotny w ciemnej drodze cierpienia. Nieustannie zmaga się z własną psychiką, porządkując wewnętrzny świat przeżyć i doznań. Ma kłopoty ze sobą, chociaż osiągnął już wiek dojrzały. Ukończył czterdzieści lat, osiągnął więc biblijne apogeum ludzkiego życia, dlatego też został już „naznaczony ciemnym cieniem śmierci". Musi zatem, w myśl nauki św. Augustyna, póki wędruje jako pielgrzym, znosić udręki tego świata, zanim osiągnie kres swojej drogi. Wkroczył w okres przygotowania do życia w innym wymiarze, rozpoczął czas pokuty i kary. Stąd tak często w poetyckim świecie Jana Czykwina bohater liryczny samotny i zagubiony, „bezskrzydły", idzie we mgle, wędruje „po tamtym boku wydarzeń", po drugiej stronie rzeczywistości, trafia w próżnię, słyszy „milknącą pieśń", doświadcza niemożności, osaczają go liczne pytania, paraliżują wątpliwości, spadają nań zwątpienia, boleśnie odczuwa upływający czas, czuje jak „na złotą oś kłębka nawija ktoś srebrne nitki naszych godzin". Dotyka go choroba objawiająca się niepokojem i dusznością, bezsennością i bólem fizycznym oraz — bardziej groźnym — duchowym. Klimat odczuć i doznań podmiotu lirycznego oddają tytuły wierszy „Słupy niewiary", „Utrapienie", „Niemożność", „Próżnia", „Smuga wieczorna", „Białoruska choroba", „Za ciszą samotności", „Trwożna alba".

Bohater liryczny „Drogi kielicha", typowy człowiek niespokojnego dwudziestego stulecia, na którym odcisnął swe piętno „czas epoki", jest nośnikiem cech charakterystycznych dla ludzi należących do pokolenia pozostającego „na zakręcie" dziejowym i biologicznym, dla tej formacji pokoleniowej, która wkracza w czas rozrachunku, doświadczając boleśnie przewartościowań życiowych. „Palę to, co kochałem; kocham to, co paliłem" — to wyznanie Stanisława Cata Mackiewicza bohater „Drogi kielicha" z pewnością uznałby za bliskie i zasadne. I chociaż nie można powtórzyć „przedziwnych mgnień życia", pozostają jednak błyski nadziei w odczuciach radości ,płynącej z samego faktu istnienia i ziemskiej wędrówki.

Doświadczenia pokoleniowe i drogę do korzeni, do domu rodzinnego, znajdujmy u wszystkich poetów „Białowieży", a miejsce, do którego drogi te prowadzą, wskazuje tytuł poetyckiego tomu Alesia Barskiego „Mój brzeg" („Мой бераг"). Obraz drogi i wędrówki w poezji Białowieżan nie jest jednolity. Zatem stwierdzenie samej częstotliwości jego występowania nie wystarcza do wyznaczenia funkcji symbolu. Konieczna staje się klasyfikacja poetyckich interpretacji wędrowania. Jedno z jej kryteriów stanowi charakter ruchu i jego wyznaczniki przestrzenno-czasowe. Motyw drogi i wędrowca pojawia się w twórczości wszystkich poetów „Białowieży". Jego obecność i powtarzalność nie wiążą się jednak ze swoistą modą poetycką czy skłonnością do uprawiania poezji poprzez naśladowanie utartych wzorów bądź odwoływanie się do znanych i popularnych motywów, nasuwa natomiast pytanie, czy nie kryje się za nim chęć zamanifestowania pewnej określonej postawy bliskiej światopoglądowi poetyckiemu Białowieżan, która zwycięża nad poszukiwaniem oryginalności obrazowania. Obok wędrówek realnych, z których wrażenia i piękno krajobrazu poeci pragnęliby ocalić od zapomnienia, spotykamy wędrówkę metaforyczną, wywodzącą się z tradycji chrze-

ścijańskiej, która chętnie odwoływała się do metafor „życie-wędrówka", „człowiek-wędrowiec", nadając im sens moralny. Białowieżanie podejmują tę metaforę zgodnie z duchem tradycji, ale także nadają jej znaczenie własne, bliskie konwencji modernistycznej, gdzie — jak podkreśla Kazimierz Wyka — „jest to obraz drogi, wiodącej nie wiadomo dokąd, czy rozdroża, na którym wędrowiec modernistyczny trwa zafascynowany tym, że wolno mu nie wybierać drogi, że w nie oznaczonym rozdrożu uczuć wolno mu widzieć swoją wyższość"[11].

Droga stanowi przestrzeń zorganizowaną w sposób linearny, a zarazem kierunkowy, pozostaje szczególnie sprzężona z porządkiem czasowym. Jeżeli nawet jest pusta, oczekuje i domaga się kogoś, kto będzie ją przemierzał, implikuje obecność wędrowca, a także zdarzeń, wobec których spełnia on rolę postaci pierwszoplanowej. W perspektywie ludzkiej droga jako otwarcie na świat przeciwstawia się zamkniętej przestrzeni domu[12]. Pojęcie drogi (via) kojarzy się z dwojakim wyobrażeniem — konkretnego szlaku, który łączy miejscowości i umożliwia pokonywanie odległości określonych, ale również alegorii, która ów obraz konkretnego szlaku przenosi



Jan Czykwin: „Droga pnie się wysoko, coraz ciężej do góry..."

w sferę duchową[13]. Szlaki wiodą przez ziemię, wodę i powietrze, ale tylko drogi lądowe — ulice, ścieżki, zaznaczają się wyraźnie, pozostałe drogi nie krzyżują się i nie zbiegają, nie zostaje więc żaden ślad wytyczonej trasy. Dlatego też tylko droga trwała nabiera charakteru „drogi świętej" (via sacra), której znaczenie określa symbolika.

W poezji Białowieżan motyw drogi występuje w każdym z tych znaczeń — konkretnym i metaforycznym, w różnych niuansach i odcieniach, w których zamyka się wielowymiarowość podróży i jej celów. Odległości i podróżne szlaki Białowieżanie pokonują w wyobraźni. Wędrują w najodleglejsze krańce czasu i zakątki indywidualnego doświadczenia. Konsekwentnie podążają drogami kraju idealnego — własnej wyobraźni. W świecie poetyckim Alesia Barskiego i Jana Czykwina wyobraźnia jest rodzajem podróży. Ona przywołuje wyraziste i wyblakłe elementy krajobrazu ojczystego. Wędrówka do „kraju lat dziecinnych", do Białowieży, która działa jak „zielony narkotyk" (Aleś Barski), pachnących ogrodów, kwitnących sadów, zdziwienie, zachwyt i sen — wszystko to można stworzyć pragnieniem. W tych podróżach wyobraźni przejawia się tęsknota za pełnią, za opisaniem całości, jedności człowieka i świata natury. I Alesia Barskiego, i Jana Czykwina interesuje człowiek harmonijnie wpisany w porządek natury, która jawi się obu poetom jako swoista sztuka kolorów i kształtów, przez którą wyraża się także natura człowieka. To pejzaż właśnie, przekształcając się w skarbnicę i refleks nastrojów, obrazuje stosunek ludzi do świata. Poprzez przyrodę, bogactwo i zróżnicowanie krajobrazu przemawia zachwyt istnieniem. Różnorodność głęboko zakorzenionego w liryce Alesia Barskiego i Jana Czykwina świata natury stanowi czasem wyraz biologizmu i witalizmu, cech tak charakterystycznych dla debiutujących w dwudziestoleciu międzywojennym poetów Skamandra.

Drogę w znaczeniu konkretnym, miłą, radosną, pełną swobody i lekkości, wiodącą wśród bliskiego sercu krajobrazu prosto do domu, gdzie czekają bliscy, spotykamy we wczesnej liryce Jana Czykwina:

(...)
Знаёмая дарога, лес, лугі, поле —
На Гайнаўшчыне дыхаецца ўволю.

І радасна ідзеш дамоў. Лёгкі ногі,
Калі знаеш: чакаюць з дарогі[14].

Dom jawi się tu jako swoista arkadia, jest odnalezionym miejscem spoczynku i ukojenia dla utrudzonego wędrowca. W arkadii chodzi się ścieżkami, których intymność i bliskość zmienia wędrówkę w spacer, a jego przyjemności, płynące z bezpośredniego kontaktu z najprostszymi elementami natury (las, łąka, pole), stają się przedmiotem poetyckiej waloryzacji. Bohater liryczny wierszy Alesia Barskiego i Jana Czykwina czesto przemierza konkretną drogę leśną, której piękno przerasta przymioty natury ludzkiej:

Іду лесам стройным,
прыгажэйшым ад многіх людзей
ва ўсім.
(...)[15]

Bohaterowie liryczni wierszy Białowieżan przemierzają często znajome ścieżki, drogi leśne i polne, wiejskie i boczne, w towarzystwie bliskiej sercu osoby, którą jest przeważnie ukochana dziewczyna. W tej sytuacji drugoplanowy staje się cel podróży, a najważniejsze wydaje się samo pokonywanie drogi, przesuwanie się w oswojonej przestrzeni, wśród przyjaznego, rodzinnego krajobrazu. Tak rozumianą poetycką realizację drogi odnajdujemy w twórczości Alesia Barskiego i Alesia Świsioka:

Мы адны сярод ніў без дарогі
прытуліўшыся моўчкі ідзём.
Сонца золатам сцеле пад ногі,
вецер лёгка кранае крылом.
(...)
Так нам добра з табою бясконца!
Колькі ў сэрцы цяпла! Колькі ласкі!
Аб каханні гавораць нам: сонца,
вецер, жыта і птушкі, і краскі[16].

Przemierzanie drogi i wędrowanie w znaczeniu realnym dla wielu Białowieżan (m.in. Aleś Barski, Jan Czykwin, Michał Szachowicz, Aleś Świsiok) staje się wystarczającym motywem dla stworzenia samoistnej sytuacji lirycznej, stanowiącej „drogę dla samej drogi"[17], bowiem wędrówka stanowi nieodłączny element ludzkiej natury i od zarania dziejów towarzyszy człowiekowi. Wyludnione ulice (metropolii? miasteczka?) w upalny dzień późnego lata przemierza bohater wiersza Jana Czykwina „Dojrzałe słońce", nie bez znaczenia otwierającego zbiór pt. „Splot słoneczny":

Я іду апусцелай вуліцай.
Да плячэй паўднёвае сонца
Ад цёплых бяроз лёгка туліцца.
Я іду апусцелай вуліцай.

Пад нагамі лісцё шапочацца,
Жоўтае, жоўтае бясконца.
Цалавацъ былое так хочацца!
На плячах — паўднёвае сонца.

Сонца да плячэй маіх туліцца.
Жоўтае лісцё шапочацца.
Цалавацъ былое так хочацца.
Я іду апусцелай вуліцай[18].

Głos podmiotu lirycznego jest głosem pamięci i przeszłości. Podpowiada to, o czym nie mówi język miasta, w którym Czykwinowski bohater nie może się odnaleźć. Sytuacja wyobcowania w środowisku wielkomiejskim powoduje idealizację utraconej Arkadii. Proces ten jest tym intensywniejszy, im miasto bardziej zaborcze, ograniczające osobowość, indywidualność i wrażliwość. Mrowie kłębiących się ludzi, hałas, gwar, szum i zgiełk wywołują lęk. Zamknięta, „ciasna" przestrzeń miasta stanowi zewnętrzne zagrożenie dla osamotnionego, wyobcowanego z tłumu człowieka. Przestrzeń duszna, stłoczona, szczelnie zabudowana, składa się na obraz uciążliwej dla psychiki „gorączki miasta" potęgowanej przez upał, porę dnia i wspomnienie przeszłości. Nawet ulica — korelat przestrzeni otwartej — pozostaje zamknięta z zewnątrz.

Kroczenie wzdłuż prostych linii kojarzy się z bezsensem tych płaskich poruszeń, wskazując na zderzenie ich z ruchem wiecznym — nieskończonym przepływem czasu. Brzmi tu nuta zmęczenia człowieka miejskim trybem życia. Podmiot liryczny szuka psychicznego wytchnienia, kierując myśl ku przeszłości. Dominują relacje natłoku, nacisku, spiętrzania elementów na niewielkich terytoriach przestrzennych. Idącego człowieka otaczają cudze przestrzenie życiowe, od których jest uzależniony. Miasto jawi się jako „locus horridus".

Przestrzeń drogi w omawianym liryku Jana Czykwina przywołuje określony model świata, którego ośrodkiem zdaje się być — w sferze sensu i wartości — dom rodzinny, źródło prawideł życia i ponadczasowych prawd o człowieku, miejsce, do którego się tęskni i dąży.

Uważny czytelnik dostrzeże jednak, iż „Dojrzałe słońce", obrazujące wprawdzie w warstwie semantycznej niespieszną, powolną wędrówkę pustymi ulicami, zapowiada także obecność motywu drogi, który pojawia się w znaczeniu pierwszoplanowym w twórczości wszystkich poetów „Białowieży". Bohater liryczny wiersza Jana Czykwina wyznaje „цалавацъ былое так хочацца", zapowiadając rozumienie drogi w znaczeniu metaforycznym — wędrówki do przeszłości, powrotu do źródeł, do własnych korzeni i gniazda rodzinnego, w rejony „ziemi serdecznie znajomej", bliskiej siłą tradycji oraz promieniowaniem wartości. Bohater „Dojrzałego słońca" idzie w przyszłość, ale pamięta skąd wyszedł, bowiem w pamięci o przeszłości skrywa się przyszłość, a „póki trwa pamięć miejsc, ludzie w myślach odwiedzać je będą"[19]. Miejsca pamięci odgrywają pierwszoplanową rolę w tworzeniu arsenału wartości kultury narodowej[20].

Teresa Zaniewska
Fot. Autorka

[8] A. Barski, *Żniwień słou*, Wydawiectwa HP BHKT, Biełastok 1967, s. 167.
[9] zob. M. Jurkowski, *Motyw drogi w poezji Białowieżan*, (w:) *Białorutenika*, (red.) A. Bartoszewicz, Wyd. Uniwersytetu Warszawskiego, t. 22, Warszawa 1995, s. 138.
[10] J. Czykwin, *Świetły mih*, Mastackaja litaratura, Minsk 1989, s. 88.
[11] K. Wyka, *Modernizm polski*, Kraków 1968, s. 78.
[12] Problematykę tę omawia szczegółowo Janina Abramowska; zob. Tejże: *Peregrynacja*, (w:) *Przestrzeń i literatura*, (red.) M. Głowiński, A. Okopień-Sławińska, Ossolineum, Wrocław 1978, s. 125-158.
[13] D. Forstner OSB, *Świat symboliki chrześcijańskiej*. Przeł. i oprac. W. Zakrzewska, P. Pachciarek, R. Turzyński, IW PAX, Warszawa 1990, s. 86-92.
[14] J. Czykwin, *Hajnauszczyna*, (w:) Tegoż: *Idu*, Wydawiectwa HP BHKT, Biełastok 1969, s. 23.
[15] J. Czykwin, *Idu lesam*, (w:) Tegoż: *Swiataja studnia*, Wydawiectwa HP BHKT, Biełastok 1970, s. 24.
[16] A. Świsiok, *My adny...*, (w:) *Bieławieża. Litaraturny almanach 2*, Biełastok 1971, s. 134.
[17] zob. M. Jurkowski, *Motyw drogi...*, dz. cyt., s. 135.
[18] J. Czykwin, *Daspiełaje sonca*, (w:) Tegoż: *Soniecznaja wiaż. Splot słoneczny*, Pojezierze, Olsztyn 1988, s. 4.
[19] A. Stojowski, *Podróże do Nieczajny. Opowiadania leodyjskie*, Czytelnik, Warszawa 1968, s. 73.
[20] zob. P. Nora, *Les lieux de memoire*. I. La Republique, Gallimard, Paris 1984, s. XI-XLII.

Niniejszy tekst stanowi fragment rozdziału pt. „Motyw drogi i wędrowca w twórczości poetów Białoruskiego Stowarzyszenia Literackiego «Białowieża»" z książki „Strażnicy pamięci. Poezja białoruska w Polsce po roku 1956", która ukaże się w roku bieżącym nakładem Wydawnictwa Uniwersyteckiego Trans Humana.

■ KONKURS

Prosimy o jeszcze trochę cierpliwości. Listę zwycięzców naszego konkursu mieliśmy wprawdzie ogłosić w tym numerze, ale losowania nagród postanowiliśmy dokonać publicznie.

Spośród wszystkich autorów, którzy przysłali prawidłowe odpowiedzi, nasz komputer wytypował dwadzieścia osób. To właśnie spośród śród nich i w ich obecności zostaną wylosowane główne nagrody — **rower górski (na zdjęciu)** i dwie bezpłatne roczne prenumeraty „Czasopisu" na 1998 r.

O terminie i miejscu losowania wytypowani uczestnicy zostaną powiadomieni listownie.



■ LISTY

Cegiełka z odległości

Z zainteresowaniem przeczytałem ostatnie numery „Czasopisu", które trafiły do mnie z drugiego krańca kraju. Zwłaszcza przed- (w poprzednim wydaniu) i powyborcze (w październikowym numerze) refleksje, wyniki i komentarze wydały mi się godne uwagi. Mógłbym powiedzieć, iż to nie moja sprawa, ale jednak szczerze żałuję, że Białorusini nie będą mieli w parlamencie swojego — co najmniej jednego — rzeczywistego przedstawiciela. Z czego wynika taka niezręczna sytacja? Co było powodem takiego obrotu sprawy, że oprócz dobrze zorganizowanych (zapewne) Niemców inne mniejszości, pomijając Sejm kontraktowy z 1989 r., wciąż nie dają rady wywalczyć sobie w nim miejsca. To zdecydowanie zubaża krajobraz polityczny kraju, ale także pozbawia mniejszości chociażby minimalnych szans na załatwienie pewnych ważnych dla siebie spraw, jakich raczej nie ruszą z własnej inicjatywy pozostali posłowie.

Nieobecność Białorusinów przy ul. Wiejskiej i kolejne nieudane podejścia do foteli poselskich są dla mnie nieco zaskakujące. Jest to przecież liczebnie duża mniejszość, szacunki mówią o 200-300 tys. osób, o ile się nie mylę. Tyloma głosami przecież można wprowadzić nawet dwóch senatorów i jeszcze więcej posłów. Wprawdzie Ukraińców jest w Polsce więcej, lecz są — niestety — bardziej rozproszeni i na pewno trudniej im zdobyć tyle głosów, ile potencjalnie mogą mieć Białorusini.

Czy przyczyną tego stanu są ambicje zbyt wielu polityków białoruskich? Niemożność wystawienia jednego, dwóch kandydatów i zrobienia im porządnej, profesjonalnej kampanii wyborczej? Takie mam odczucia, chociaż z odległości 700 kilometrów mogę niezbyt dokładnie odczytywać niuanse lokalnego życia politycznego. Lektura „wyborczych" wydań „Czasopisu" trochę mi jednak rozjaśniła w głowie. I przy okazji pokazała, że Białostocczyzna, na szczęście, nie jest tak ultrakatolicka, jak to wynikało z niektórych publikacji prasowych i zachowań białostockich ojców miasta.

Z enuncjacji prasowych i innych sygnałów, które do mnie docierały, wychodził bowiem tak paskudno endecko-klerykalny obraz miasta (Białegostoku, oczywiście), że dziękowałem losowi, iż parę lat temu coś mnie pchnęło do wyjazdu z niego. Tymczasem publikowana w „Czasopisie" mapka głosowań wskazywała, iż ludzie zachowywali się różnie, ale normalnie. Natomiast w województwie szalę na korzyść obecnych zwycięzców przeważyły głosy z nadmiernie rozrośniętej stolicy regionu. W terenie bowiem — jak policzyłem na oko — chyba wygrała lewica.

Dla mnie osobiście konieczność obecności posłów mniejszościowych w Sejmie jest kwestią przyzwoitości wobec kilkuset tysięcy zamieszkujących Polskę Białorusinów, Ukraińców, Romów, Żydów, Greków, Macedończyków. Dla demokracji zaś jest to sprawdzian. Bowiem niuanse w podejściu większości do mniejszości zawsze świadczą o tym, czy system demokratyczny istnieje tylko w zapisie, czy przesiąknął również do rozumowania polityków reprezentujących większość. U nas — zdaje się — daleka do tego droga.

Mimo to, sądzę, nie tylko Białorusini powinni wyciągnąć z tego co się stało wnioski. Cementowanie się od początku lat 90. lewicy, skuteczne powielenie tego modelu przez obecnie zwycięską „Solidarność", wskazują którędy droga. Nie tylko, jakby się zdawało, przez jednoczenie się wszystkich Białorusinów, ale — być może — przez powołanie jednego komitetu wyborczego wszystkich mniejszości w Polsce. Wymaga to wprawdzie zachodu, setek rozmów i tysięcy przejechanych kilometrów, ale spróbować nie zawadzi. Efekt może być zaskakujący...

Eugeniusz Kurzawa, Zielona Góra

■ KOMUNIKATY

Białoruskie Towarzystwo Historyczne
i Sokólski Ośrodek Kultury
zapraszają na konferencję
„Białorusini Sokólszczyzny"
16 XI 1997 r. w siedzibie SOK, przy ul. Grodzieńskiej 1

Referaty

1. Dr Edward Zajkouski (Mińsk), *Życie duchowe Białorusinów Sokólszczyzny w świetle badań archeologicznych i folklorystyczno-etnograficznych.*
2. Dr Paweł Łojka (Mińsk), *Sokólszczyzna — część terytorium Ekonomii Grodzieńskiej.*
3. Dr Uładzimir Sosna (Mińsk), *Charakterystyka włościaństwa Sokólszczyzny w I połowie XIX wieku.*
4. Dr Hienadź Siemianczuk (Grodno), *Z historii Cerkwi prawosławnej Sokólszczyzny XIX-początku* XX wieku (budownictwo, architektura wnętrz).
5. Dr Siarżuk Tokć (Grodno), *Białorusini w strukturach władzy powiatu sokólskiego w końcu XIX i na pocz. XX w.*
6. Prof. Alaksiej Piatkiewicz (Grodno), *Grodzieńskie koła młodzieży białoruskiej (1909-1913) a Sokólszczyzna.*
7. Dr Ihar Żuk (Grodno), *Czarżyński — białoruski działacz kultury i nauki z Sokólszczyzny.*
8. Dr Oleg Łatyszonek (Białystok), *Jan Czerepuk — pionier białoruskiego ruchu politycznego w USA.*
9. Dr Helena Głogowska (Gdańsk), *Władysław Kozłowski — białoruski działacz narodowy z Zalesia.*
10. Mgr Wiesław Choruży (Białystok), *Doktor Mikołaj Czarniecki.*
11. Wiktar Skorabahatau (Mińsk), *Jan Tarasiewicz — kompozytor rodem spod Sokółki.*

Po dyskusji odbędzie się koncert białoruskich romansów w wykonaniu Wiktara Skorabahatawa (baryton) i Hanny Karżanieuskaj (fortepian).

Prawosławny Ośrodek Miłosierdzia
zaprasza na
Koncert Dobroczynny
w Filharmonii Białostockiej, 23 XI 1997 r., godz. 17.00

Część I (muzyka cerkiewna)

Chór Młodzieżowy Hagia Sophia w Białymstoku
— dyrygent ks. protodiakon Dymitr Tichoniuk
Chór Młodzieżowy Parafii św. Mikołaja w Białymstoku
— dyrygent ks. protodiakon Aleksander Łysynkiewicz
Chór Prawosławnego Ordynariatu Wojska Polskiego
— dyrygent Eugeniusz Skowroński

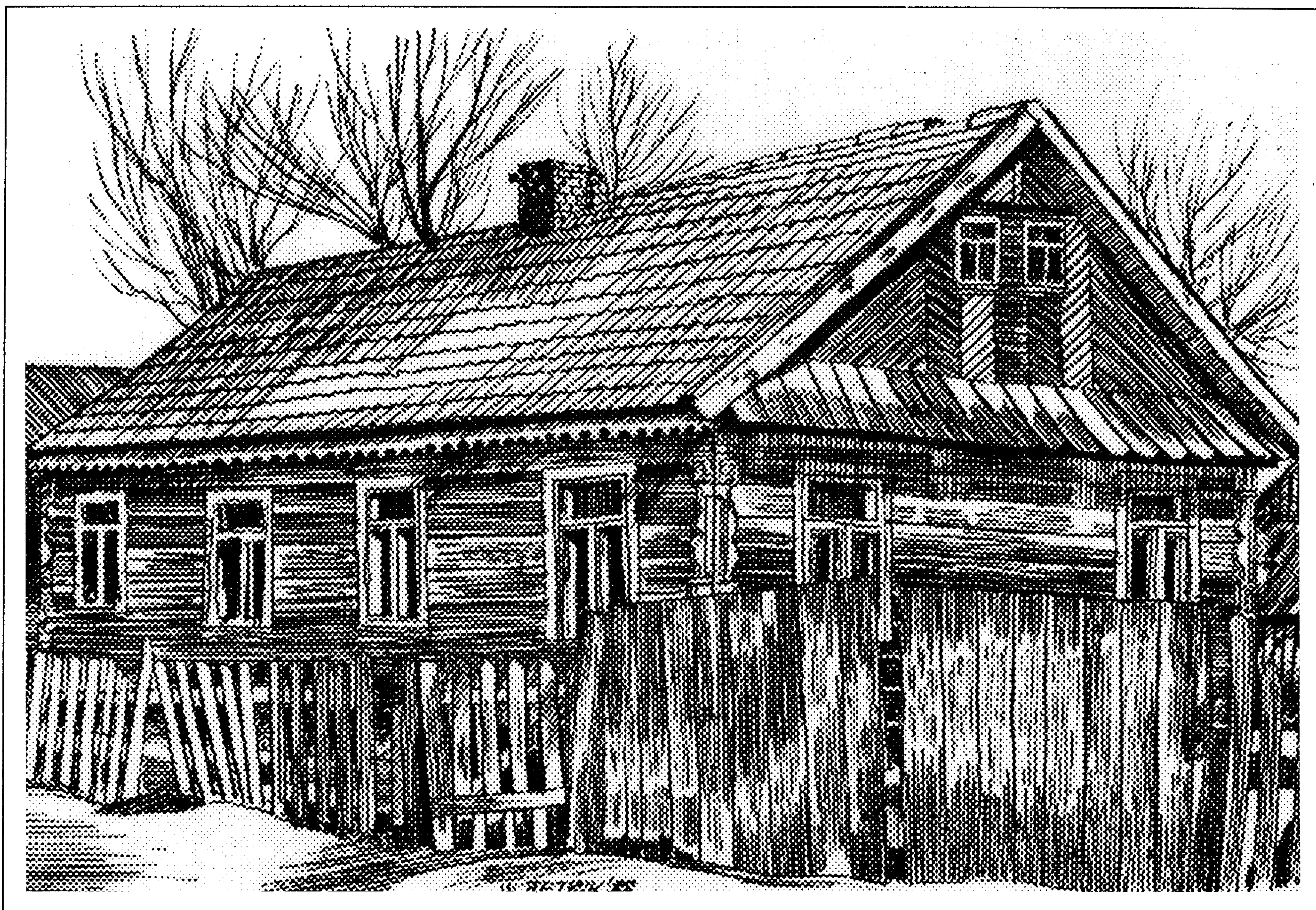
Część II (muzyka ludowa)

Dzieci i ich rodzice z oddziałów białoruskich Przedszkola Samorządowego Nr 14 w Białymstoku
— kierownik Barbara Piekarska
Zespół folkowy „Czeremszyna" z Czeremchy
kierownik Barbara Kuzub-Samosiuk
Zespół „Małanka" z Bielska Podlaskiego
kierownik Sergiusz Łukaszuk

Bilety do nabycia w parafiach prawosławnych Białegostoku oraz w siedzibie Prawosławnego Ośrodka Miłosierdzia, przy ul. Lipowej 15B. Całkowity dochód z koncertu będzie przeznaczony na działalność charytatywną Ośrodka.

ХРОНІКА

МЯСЦОВАСЦІ



Мал. У. Петрука

РЫГОРУВЦІ

У нашых вандраваннях па мясцовасцях арлянскай воласці на гэты раз апынемся ў вёсцы, якая гістарычна не звязана з ёю. З увагі аднак на непасрэднае з ёю суседства і сённяшняе ўхваходжанне ў склад Арлянскае гміны, Рыгорувцы мелі і маюць блізкія сувязі з падляшскім надарлянскім мястэчкам.

Добрыя землі навокал Рыгороўцаў былі абжыты здаўна. Несумненна, ужо тады, калі ў X—XIII ст.ст. развіваліся непадалёкія гарадзішчы і пасады ў Пашкоўшчыне-Вішнюўцы, Шэшылах-Замку ды Молочках. Кім быў Рыгор, які даў назву вёсцы — невядома. Першы раз пад цяперашняй назвай Рыгорувцы выступаюць у дакументах пад 1676 г. Падданыя гэтай прыватнаўласніцкай вёскі адраблялі сваю паншчыну ў мясцовым фальварку. У пачатку XIX ст. было тут іх ужо два: першы знаходзіўся ва ўрочышчы Тыкліново, другі ж на Шыманшчыне. Уладарылі гэтымі фальваркамі браты Скірмунты.

Другая палова XIX ст. прынесла сялу эпахальныя пераўтварэнні. Першым была зямельная рэформа 1861 г., другім — пракладка ў 1878 г. бельска-берасцейскай жалезнай дарогі. Непадалёк Рыгороўцаў узнікла станцыя, якая дала пачатак новаму пасёлку. Гэты перыяд даў таксама вёсцы першую ў яе гісторыі школу. У 1884 годзе навучалася ў ёй 31 дзіця. Першай большай падзеяй XX ст. была Сталыпінская рэформа, у выніку якой у 1910 г. каля дзесяці гаспадароў перанеслася на хутары. Два маленькія пасёлкі ўзніклі тады пры лесе Калітоўшчына.

Бежанства выгнала з вёскі амаль усіх. Некалькі дзён пасля адыходу жыхараў, недзе каля 20 жніўня 1915 г. пад Рыгороўцамі прайшла вялікая бітва паміж расейскімі і нямецкімі войскамі. Памяткаю па тых трагічных падзеях астаўся вайсковы могільнік з арыгінальнымі каменнымі помнікамі ў выглядзе нямецкага шлема на пастаменце.

Пасля вяртання з бежанства жыхары пачалі нанава адбудоўваць жыццё. У 1928 г. вёска, якая належала праваслаўнаму прыходу ў Вольцы-Выганоўскай, налічвала 284 асобы. Ці не адзінымі палякамі была тут сям'я Вітольда Касіньскага, уласніка двара. У 1939 г. раздзяліў ён трагічны лёс прадстаўнікоў свайго стану.

Мікола Сахарэвіч